Nr. 25. Warszawa, dnia 24 (12) Czerwca 1893 r. Rok XIII.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** 

*Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.*

### SPRAWY EKONOMICZNE

## ZANIEDBANE ŹRÓDŁO.

II.

Gdyby zachęta do rozszerzania hodowli owoców nie spotkała się była z uznaniem konieczności znalezienia nowych form pracy i nowych źródeł dochodu, prawdopodobnie przebrzmiałaby echami wołających na puszczy. Poparta przekonywającą siłą interesu materyalnego, zdobyła sobie posłuch. Lwia część zasługi w tem apostolstwie należy się p. E. Jankowskiemu, który za pomocą książek, broszur, artykułów i pogadanek publicznych budzi zamiłowanie do ogrodownictwa i wskazuje drogi postępowania. Że działalność jego na tem polu nie była bezpłodną, dowodem szybki rozkup jego wydawnictw i występujące coraz częściej skutki praktyczne. Ani wszakże jeden człowiek, ani kilka książek lub kilkadziesiąt artykułów nie może wywołać przełomu ekonomicznego; ku temu potrzebne są jeszcze inne czynniki. Niestety, chociaż one istnieją i współdziałają, dotychczasowy ich wpływ jest nadzwyczajnie słaby. Przedewszystkiem brak nam szkoły ogrodniczej. Po zwinięciu utrzymywanej przy ogrodzie pomologicznym, powstała w Częstochowie prywatna p. Zawady. Pomijając niewygodne jej położenie na krawędzi kraju, jest to instytucya mniej niż zalążkowa, gdyż nie posiada ani odpowiednich nauczycieli, ani niezbędnego zakładu do nauki praktycznej. Nie może też ona dowieść swej użyteczności i pochlubić się szeregiem wychowańców, którzyby wyróżnili się swem fachowem uzdatnieniem. Gdzież więc młodzi ludzie mają kształcić się na ogrodników? Tylko w terminowaniu prywatnem, które nigdy nie zastąpi dobrej szkoły. Posiadamy Towarzystwo ogrodnicze, bogate w członków i środki, ale jego wpływ praktyczny na rozwój ogrodownictwa jest prawie żaden. Nie nabyło ono bowiem nawet zagona ziemi, na którymby coś uprawiało i robiło jakieś próby; nie wytworzyło żadnej stacyi doświadczalnej, nie rozciąga żadnej opieki nad interesami i potrzebami swych uczestników; nie ułatwia im nabywania roślin i nasion, nie mówiąc już o sprzedaży produktów; nie wysyła na prowincyę instruktorów i gdyby nie urządzało pogadanek i nie rozlosowywało kwiatów, możnaby zasadnie spytać, po co istnieje. Ażeby dać dowód, jak dalece ono lekceważy tego rodzaju zadania, przytoczymy jeden przykład. Po szkole pomologicznej odziedziczyło szkółkę, złożoną z kilkunastu tysięcy drzewek. Długo wielu z jego członków wcale o niej nie wiedziało, nareszcie gdy przerosła, przypomniano sobie o niej i postanowiono ją sprzedać przez licytacyę. Ale zamiast rozdzielić na małe grupy i umożliwić kupno drobnym posiadaczom ziemi, a zwłaszcza włościanom, rozdzielono na 4 partye po parę tysięcy sztuk. Naturalnie ktoż mógł zapłacić kilkaset rubli za jedną? Tylko ludzie zamożniejsi. Sprzedano dwie, inne zaś skutkiem wyrzutów prasy rozdrobniono. Rzeczywiście przybyli na licytacyę farmerzy i chłopi, ale tu znowu ujawniła się niedbałość: puszczono drzewka bez nazw i bez uwzględnienia warunków nabywcy. Podczas gdy ludzie prości chcieli wiedzieć, jakie odmiany kupują, Towarzystwo *ogrodnicze* nie uznało za potrzebne ich o tem objaśnić. A to samo Towarzystwo wzywa ogół do obserwacyi i donoszenia mu, jakie odmiany w naszym kraju się udają! Jakże obserwować i donosić, nie wiedząc, co się ma? Nadto każdy łatwo zrozumie, że instytucya, specyalnie zajmująca się rozszerzaniem i popieraniem kultury owocowej, powinna dbać o to, ażeby sprzedawane przez nią drzewka dostawały się we właściwe ręce. Są gatunki, wymagające bardzo wielkich starań, i są inne wcale niewybredne. Otóż jeżeli chłop kupi Kosztelę lub Antonówkę, może bez zachodu doczekać się z niej owoców; ale jeżeli dostanie jakąś kapryśną Renetę lub Kalwillę, z pewnością straci ją wkrótce. Tymczasem Towarzystwo ogrodnicze zbywa drzewka w bezładnej mieszaninie, a więc niejednego włościanina może obdarować zbiorem odmian, które mu przepadną, pozbawione umiejętnego doglądu i starań.

Towarzystwo nawołuje do zapisywania się lub werbowania mu członków, ale jeżeli warszawscy mogą przynajmniej uczęszczać na posiedzenia i pogadanki, to jakąż korzyść za swą składkę mają prowincyonalni? Otrzymują... pismo *Ogrodnik polski*. Jest to wydawnictwo dość dziwnego nabożeństwa. Tego rodzaju organy zagraniczne są albo poświęcone badaniom naukowym, teoretycznym, albo celom praktycznym. Ostatnie spełniają swoje zadanie wybornie i przynoszą czytelnikom nieoceniony pożytek. Nietylko bowiem zaznaczają skwapliwie każdy postęp w sztuce i wiedzy ogrodniczej, ale posiadają własne pola doświadczalne, na których wypróbowywane są ściśle i umiejętnie najrozmaitsze hodowle, udzielają czytelnikom gruntownych i wyczerpujących odpowiedzi w najrozmaitszych kwestyach, wyznaczają nieustanne konkursy i nagrody za najlepsze owoce, warzywa lub kwiaty, nadesłane do redakcyi, urządzają głosowania na odmiany najbardziej odpowiadające warunkom miejscowym, układają z nich coraz poprawniejsze listy najgodniejszych produkcyi, spieszą z natychmiastową radą po jakiejś niezwykłej zmianie atmosferycznej, oceniają nowe lepy przeciw owadom, klatki dla ptaków pożytecznych, drabiny, skrzynie inspektowe itd., słowem utrzymują nieprzerwany związek z prenumera-

torami i czuwają nad każdym momentem ich pracy, nad każdym kłopotem i potrzebą. Nic podobnego nie znajdujemy w *Ogrodniku polskim*. Zamieszcza on wykłady teoretyczne, opisy zbytkownych parków, rozprawy o ogrodownictwie w Japonii lub Kalifornii, projekty, przepisy hodowli roślin kapryśnych, a śród tego materyału, który może mieć wartość, ale nie kształci wcale niemowlęcego ogrodnictwa naszego, znajdzie się czasem jakiś artykuł praktyczny, do miejscowych potrzeb zastosowany. Widać, że treść pisma układa się przypadkowo, że ono jest poboczną robotą rąk czem innem zajętych. Czytelnik daremnie szuka w niem rady w sprawach najprostszych. Tak np. wiadomo, że sroga zima ubiegła zrządziła w ogrodach wielkie szkody. Podczas gdy pisma niemieckie wskazały, jak ratować drzewa nadmarznięte, *Ogrodnik* poprzestał na notatce, że u p. Kurtza w Otwocku zginęło wiele drzew, a w Jankowie ucierpiały Wiliamsy. Drugi przykład innego rodzaju. Uprawa róż jest u nas stosunkowo bardzo rozwinięta i wiele osób pragnęłoby znać udoskonaloną jej metodę. Jeżeli się zwrócą do *Ogrodnika polskiego*, zmącą sobie zupełnie głowę. P. J. Kaczyński bowiem powie im: do sadzonkowania trzeba brać gałązki, gdy na nich pojawią się *pierwsze pączki*; sadzić je w półciepłym inspekcie, w ziemi *wrzosowej*, skrzynie *cieniować*, okna codziennie uchylać, ażeby *usunąć nadmiar pary* (*Róża*, str. 114—115). P. W. Kaczyński zaleci: ziemia w inspekcie powinna się składać z 1/3 zwykłej ogrodowej, 1/3 liściastej i 1/3 gnoju przetrawionego; inspekt należy trzymać zamkniętym, słońca *można się nie obawiać*, gdyż para z wody tworzy *rodzaj chmury*, ochraniającej rośliny od nieprzyjaznych przypadków (*Ogr. p.* 1893, z. 7). P. J. Froń znowu poradzi: sadzonki ciąć z gałązek po pierwszem *okwitnieniu*, do inspektu używać *mułu rzecznego*, okna *pilnie cieniować* (*Ogr. p.* 1893, z. 8). Kto wobec tych sprzeczności będzie mądrym i zgadnie, jak sadzonkować róże? Pojmujemy to dobrze, iż ogrodownictwo nie jest matematyką z ustalonemi regułami, lecz nauką opartą na rozmaitych doświadczeniach. Redakcya jednakże z przeczących sobie objaśnień powinna według swego uznania wybierać najpewniejsze i nie pozostawiać tego węzła do rozcięcia mniej biegłemu od niej czytelnikowi.

Przed paru laty pewien nauczyciel poznański wyhodował nową odmianę wczesnego wina, którą nazwał „Tryumf polski.“ Gdy zawiadomił o tem znaczniejszych ogrodników warszawskich, jedni nie odpisali mu wcale, inni odpowiedzieli zniechęcająco. Wtedy on zwrócił się do niemców, którzy natychmiast zakupili u niego wici, rozgłosili w katalogach, przyczem naturalnie „polski“ odpadł, a pozostał tylko „tryumf.“ Nie dość tego. Podczas gdy niemcy ciągle odbywają próby z tem winem i zawiadamiają się przez pisma o wynikach, nasz *Ogrodnik* nie wspomina ani słowem o losach tego rodzimego produktu, który dowiódłszy swej wytrzymałości w obec klimatu miałby dla nas wielką wartość.

W powyższym wywodzie odsłoniliśmy słabe strony głównych czynników naszego ogrodownictwa nie dla szykany, lecz dla uświadomienia istotnych potrzeb i wymagań tej gałęzi naszej wytwórczości, która siłą obecnych dźwigni podnieść się nie może. Ogół nasz w tej dziedzinie pracy stawia dopiero pierwsze kroki, więksi i mniejsi posiadacze ziemi, których przedewszystkiem należy pchać ku niej, są z nielicznymi wyjątkami zupełnie ciemni i nieporadni, musimy więc im dopomódz i zatknąć jasne drogowskazy. Szkoła (która ma być niedługo otwarta przy ogrodzie Pomologicznym) zrobi wiele, ale nie spełni obowiązków ani Towarzystwa Ogrodniczego, ani jego organu, które nawet najlepszą powinny dopełniać swoją rozumną, energiczną i planową działalnością. Wtedy zaniedbane źródło tryśnie zdrojem pożytku dla kraju.

## POLITYKA.

# STOSUNKI HANDLOWE
## POMIĘDZY ROSYĄ I NIEMCAMI.

Sprawa ustawy militarnej zapanowała dzisiaj wyłącznie w Niemczech i usunęła z porządku dziennego wszystkie inne, chociażby najżywotniejsze. Do liczby takich kopciuszków, które poszły do kąta — na jak długo, niewiadomo, bo nikt obecnie nie jest w stanie cokolwiek powiedzieć, kiedy zostanie rozstrzygnięty zatarg pomiędzy władzą państwową a społeczeństwem — należy także kwestya ugody celno-handlowej pomiędzy Rosyą a Niemcami, potrzebująca dla swojej prawomocności przyjęcia przez sejm ogólno-państwowy. Sejm zaś, który zbierze się jeszcze w tym miesiącu, jeżeli trwać będzie w opozycyi przeciwko projektowi militarnemu, na pewno odmówi swojej sankcyi wszelkiej sprawie, póki ustawa wojskowa nie zostanie stanowczo załatwiona.

Swego czasu stosunki handlowo-wymienne pomiędzy Rosyą a Niemcami były bardzo ożywione. Z wprowadzeniem przez Niemcy cła od zboża, z podniesieniem opłaty od wchodzących fabrykatów ze strony Rosyi wzajemna ta wymiana zaczęła szybko się zmniejszać. Kilka cyfr statystycznych najlepiej uwidoczni następstwa obustronnego protekcyonizmu. Niemcy dowoziły niegdyś do Rosyi produktów fabrycznych za jakieś 500 mil. marek, wówczas kiedy obecnie wartość całego wywozu — mówimy o r. 1892 — nie wyniesie 200 mil. Zamknięcie rynków ruskich oddziałało nader ujemnie na interesy przemysłu niemieckiego, zwłaszcza że szląski i saski ucierpiały z tego powodu, a niektóre zakłady ratowały się tem, że wprost przeniosły się za kordon celny. Sosnowice poniekąd temu zawdzięczają taki szybki rozkwit; na niektórych gałęziach — np. na trudniących się wyrobem zabawek dla dzieci lub fortepianów — przesilenie odbiło się do tego stopnia, że produkty ich

---

4)

ARNE GARBORG.

# SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Zagroda Haawska leżała na najwyższym szczeblu łańcucha wzgórz, który niby wielka, krągła fala unosił się ponad rozległemi płaszczyznami zachodu i południa.

Trzech mieszkało ludzi w tej chudobie, w niskich, zwartych domach, w zwykły budowanych sposób: świetlica na jednym końcu, śpiżarnia — na drugim, w posrodku sień z drzwiami wchodowemi, ponad któremi zrobione było sklepienie; przy obu skrajach domu — szafle na torf.

Enoch mieszkał z brzegu na zachodzie, w nowych, dziegciem powleczonych, a cegłą krytych domkach. Ulica biegła tuż przed jego oknami, po drugiej zaś stronie, naprzeciwko jego okien, znajdował się „Hag“ — kilka starych drzew, przeważnie jarzębin i ciężka, stara wierzba; drzewa te ginęły gdzieś ku północnemu zachodowi.

Wzniż wzgórza, na południowym jego skłonie, leżały ogrodzone pastwiska, pola uprawne i świeżo zaorane, piękne ugory; wszystko to za pomocą wałów kamiennych wzdłuż i wpoprzek podzielone. Łąki pastewne sięgały aż do Elo i do torfowiska; z drugiej strony widniało wzgórze Ramstadzkie, czarne a tak wielkie, że go okiem objąć nie było można.

Z pagórków wschodnich zbiegał strumień Skaru, pieniąc się z gwałtownym szumem, obracając młyny i młocarnię, spływając zgięty w cichą rzeczkę przez trzęsawisko, samo łąki Haawskie. Potem z wielkim rozpędem biegł znowu wzdłuż górzystego łańcucha. Tu miał szersze koryto, tak że ludzie na Haawe ze spadku jego korzystać mogli dla młyna. Młyn Enocha znajdował się na pograniczu północnem, na skraju stawu, którego przekopanie kosztowało pewnie trud całego lata.

Tu przebywał dziś Enoch, susząc i mieląc.

Powietrze było szkaradne, ciężki, gęsty deszcz ze śniegiem zmieszany. Młyn leżał samotny, wystawiony na działanie mrozu. Na łące Ginsterskiej sterczały wokoło małe, okrągłe pagórki, które uchodziły za groby wilkołaków; niżej, ku północy, ciągnęło się zapadające, miękkie trzęsawisko Heidlandzkie ze swojem nieruchomem, długiem sitowiem. Trochę dalej, w pośrodku równiny leżała szara, stara chudoba Heidlandzka; zdawało się, że pod wielką ilością swoich dachów torfianych skryć się chce w ziemię; mówiono, że tu za dawnych czasów straszyło — po jakimś człowieku, który się obwiesił. Zresztą nie widać było nic, tylko łąkę i błota, błota i łąkę, a tu i owdzie jakąś zagrodę, widniejącą spoza pagórka. Przez zasłonę deszczową dostrzegano na wschodzie i północy domostwa Oazskie i biało-tynkowany kościół.

Ku wieczorowi wypogodziło się; w powietrzu i na niebie połyskiwała jakaś stalowa, zimna jasność; czarno-niebieskie chmury pędziły ku zachodowi, ku morzu. Głośny szum strumieni wypełniał przestrzeń.

Enoch czuł się znużonym; myśl o Napolonie prześladowała go przez cały dzień. Modlił i modlił się, ale bez skutku; modlitwę przerywały mu co chwila myśli o innych rzeczach. Oto Napolon leżał w piekle i płonął. Może prosił Abrahama, aby mu pozwolił wrócić na ziemię i zaświadczyć znajomym, czego doznał — a jeżeli pozwolenie otrzymał? Tak dalece nie boimy się grzechu, tak jesteśmy obojętni, że czas by

niemal przestały wychodzić po za granice Niemiec. Rozumie się, nie wszystkie gałęzie są zainteresowane jednakowo, ale wszystkie bez wyjątku wzdychają do zamkniętych rynków ruskich. Głównie jednak idzie o ten pokój celno-handlowy przemysłowi tkackiemu, żelaznemu i chemicznemu; towary tkackie wyniosły w r. 1892 aż 11% całej wartości niemieckiego wywozu do Rosyi. Z drugiej strony zboże ruskie zwolna zostaje wyrugowywane z rynków niemieckich; przy istniejących cłach wchodowych okazuje się ono coraz mniej zdolnem do zwycięzkiego współzawodnictwa ze zbożem, które napływa z krajów Naddunajskich, Indyj przedgangesowych i Ameryki. Upadek i zamknięcie licznych firm zbożowych w Królewcu, Gdańsku, Rydze są to wymowne oznaki tego zwrotu potoku zbożowego, ginącego w rynkach niemieckich. Jeszcze w r. 1888 Rosya wywoziła 546 milionów pudów, w r. 1889 już 465½, wreszcie w r. 1890 tylko 417. Nieurodzaj zaprzeszłoroczny jeszcze pogorszył to położenie, gdyż wyżłobił nowe koryto dla zboża nieruskiego. Zresztą głównymi przedmiotami wywozu do Niemiec, prócz zboża, są wyłącznie najrozmaitsze surowce: wełna, drzewo na budulec i opał, nieprzerobione chemikalia. W r. 1892, wartość zboża dosięgła jednak 16% całego wywozu, wełna 9,6%, metale 7,4%.

Przytoczyliśmy powyższe cyfry, ażeby dać wyobrażenie o podstawach, na których układy celno-handlowe mogą dojść do skutku. Wzamian za zniżenie ceł, opłacanych przez zboże ruskie przy przejściu granicy, władze niemieckie wymagają zmniejszenia ruskiej taryfy dla ich przemysłu. Otóż chcielibyśmy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że w Niemczech istnieją wskazówki, pozwalające mniemać, że losy ugody wiążą się w pewnej mierze z losami stosunku handlowo-celnego z Rosyą. Sama ugoda jest w gruncie rzeczy jakby haraczem, złożonym przez rząd niemiecki obozowi narodowo-liberalnemu i pewnej grupie wolnomyślnego, broniącym interesów przemysłu. Na odbywających się wiecach przedwyborczych, stronnictwa te, gotowe były dać swój głos za militaryzmem—jednocześnie z zupełną otwartością wyciągały sprawę ugody i rozprawiały o jej znaczeniu. W zimie, kiedy wieści o warunkach układu dostawać się zaczęły do prasy, wśród zatrwożonych agrarczyków, zwłaszcza we wschodnich prowincyach Prus, zerwała się istotna burza niezadowolenia i gniewu. Sejmiki prowincyonalne ziemian pierwsze wypowiedziały swoje oburzenie, potem w połowie lutego nastał olbrzymi zjazd w Berlinie, który zgromadził do 10 tysięcy uczestników. Krańcowo, z całą bezwzględnością potępiono tutaj sprawę układów z Rosyą, grożono opozycyą sejmowa i stworzeniem nowego stronnictwa, mającego na celu obronę niemieckiego zboża przeciwko możliwym zamachom ze strony rządu. Na to izby handlowe odpowiedziały masowymi adresami na ręce ministra; nawet monachijska pośpieszyła z zaznaczeniem swojej postawy, wrogiej agrarczykom, a wszystkie protesty nie ukrywały swoich sympatyj i celów, z całym naciskiem podkreślając, że utrzymanie i rozszerzenie celnego pokoju z Rosyą winno być wstępem do stałego przymierza politycznego. Marzono nawet wśród kół odnośnych o zwołaniu do Berlina olbrzymiego zjazdu przemysłowców, który wypowiedziałby swój protest przeciwko agrarczykom. Cokolwiekbądź jednak, sprawa i dzisiaj nie ucichła, jak o tem świadczą głosy przedwyborcze. Możliwe zniżenie aż do zniesienia ceł zbożowych względem Rosyi, ażeby za tę cenę uzyskać wzamian ustępstwa dla produktów przemysłu, oto jedna z łapówek politycznych, za którą żywioły miejsko-kapitalistyczne w Niemczech zgadzają się podać swoje głosy za ustawą militarną.

*Ż.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po części spodziewany, a po części niespodziewany rezultat dały wybory do sejmu niemieckiego. Przewidywano, że skutkiem przewrotu w stosunkach i rozpalenia namiętności, okaże się potrzeba dokonania wielu wyborów ściślejszych. Rzeczywiście przeszło 180 mandatów będzie przedmiotem drugiej walki. O ile widać z dotychczasowego wyniku, największe zwycięztwo odniosą społeczno-demokraci, a największą klęskę — postępowcy. Ci ostatni są prawie rozbici. Dość powiedzieć, że nie tylko ani jeden poseł nie został wybrany z grupy Richtera, ale nawet on sam, od lat wielu prawie bez oporu wychodzący z urny w Hagenie, będzie musiał po raz drugi ubiegać się o mandat. W Berlinie przepadli tacy koryfeusze, jak Virchow, Munckel, Baumbach. Grupa Rickerta (przyjazna projektowi wojskowemu) wyszła szczęśliwiej, ale przeprowadziła zaledwie trzech kandydatów. Centrum poniosło mniejszą klęskę i być może odzyska swoją poprzednią cyfrę. Podobnież konserwatyści, narodowo-liberalni i polacy. Do wyborów ściślejszych staje: 81 społeczno-demokratów 73 narodowo-liberałów, 73 konserwatystów 32 postępowców Richtera i 14 Rickerta, 31 członków centrum, 16 antisemitów, 11 polaków, 10 welfów, 9 demokratów południowych, 4 przedstawicieli związku chłopskiego, 2 przedstawicieli związku rolników i 2 alzatczyków. Od tej ostatniej bitwy zależyć będzie skład sejmu niemieckiego i losy ustawy wojskowej. Gazety przewidują, że ona prawdopodobnie zyska większość kilku głosów i z pewnemi zmianami przejdzie. W każdym razie rząd zaniechał myśli powtórnego rozwiązania parlamentu i będzie usiłował dojść z tym do ładu. Co się tyczy polityczno-społecznego znaczenia ostatnich wyborów, wywrą one głęboki wpływ w rozmaitych kierunkach, ale nad tą kwestyą zastanowimy się później.

Izba francuska była znowu widownią zajścia, będącego wstępem do dalszego ciągu gorszących odkryć. Mianowicie gdy deputowany Clemenceau wszedł na trybunę, deputowani Millevoye i Deroulede krzyknęli: szantażysta, agent zagraniczny! Podobno zrobili oni to na podstawie jakichś świeżo zdobytych dowodów, stwierdzających, że Clemenceau łącznie z Hertzem był najmitą angielskim. Otwiera się tedy nadzieja skandalicznych wyjaśnień i szlamowań wstrętnego błota.

Carnot wyzdrowiał.

Jak przewidywaliśmy, hr. Kalnoky w innej mowie przed delegacyami starał się zatrzeć pewne barwy pierwszej. Usiłował on osłabić swoje słowa o przyjaznym stosunku z Rosyą a wzmocnić serdeczności dla Niemiec. Skutek dwujęzyczności został osiągnięty.

W Brnie morawskiem wybuchły bardzo poważne starcia między robotnikami a policyą i wojskiem, przyczem krew popłynęła obficie. Powodem rozruchów był wiec robotniczy w sprawie głosowania powszechnego. Bunt stłumiony, ale wrzenie trwa dalej.

Konserwatyści angielscy postanowili zabić bil irlandzki t. z. „obstrukcyonizmem,“ tj. wnoszeniem do każdego paragrafu mnó-

---

był już wielki. Byłoby to wbrew słowom Pańskim; ale przypuśćmy, że wróciłby istotnie. Gdyby tak stanął nagle we drzwiach młyna...

Enoch zamknął drzwi; poczem zapalił świecę i latarkę i usiłował zdać się na łaskę Pana.

— O gdybyś ty tylko chciał być ze mną, nie byłoby dla mnie niebezpieczeństwa!

Młyn to był duży, za pomocą ściany na dwie części przedzielony; w wewnętrznej — znajdowała się suszarnia, w zewnętrznej— młyn właściwy. Enoch ukrył się w pierwszej. Ilekroć wyjść musiał do zimnej, białej od mąki, izby młynarskiej, w której światło rzucało takie dziwne cienie — uczuwał dreszcz. Pomyśleć tylko, a jeżeli tu kto siedzi na brzegu skrzyni mącznej!?

Słyszał kroki — wyraźnie. Kto to mógł być? Czekał, ale nikt nie przychodził. A może istotnie nikogo nie było! „Dobry Boże, dopomóż mi; strzeż mnie od wszelkiego zła...“ Znowu ktoś chodzi. Wyraźne, ciężkie kroki. Miał na tyle jeszcze odwagi, że wyjrzał, wziął latarkę i wychylił się za drzwi zewnętrzne. Nic, niema nikogo. Tylko szum strumienia wpadał mu w ucho jak wołanie, jak przeraźliwe, długie wołanie o pomoc. Zatrzasnął drzwi i skrył się w izbie; drugi raz tego już nie zrobi. Ale na dworze jednak ktoś chodził.

Ze wszystkich sił zaczął przesiewać żyto, nasłuchiwać więcej nie chciał. „Kto się w opiekę poda Panu swemu.“ Czyżby to dyabeł straszył i czyhał tu na niego?.. Bies obawiał się może, iż Enoch wyrwie się teraz z pod jego władzy, więc chciał go pochwycić, póki jeszcze czas...

— O Boże, spłosz te straszne myśli!..

Piec trzeszczał i trzaskał, zwolna i cierpliwie; rzekłbyś, że jęczy. Co się stało z tym młynem? Trzeszczał, skrzypiał, jak gdyby szedł po kamieniach... Wyjść, zobaczyć? Nie, nie. Może sypać trochę więcej żyta? Nie zaszkodzi. Lecz skrzynia napełniała się mąką; trzeba znowu ziarna ująć. Czego się nie słyszy, kiedy się jest samym. Ot, znowu. Nie zważać na to. Jeżeli to człowiek — wejdzie, jeżeli co innego — to i tak niema rady... Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

A młyn pędził, zawodząc twardym, kamiennym głosem wśród szumu i poświstu: „w przepaści piekielnej, w piekielnej przepaści.“ Enoch słyszał wyraźnie. A wewnątrz suszarnia skarżyła się i skarżyła, dźwiękiem stłumionym, cichym: ach — oi! ach — oi!.. „w przepaści piekielnej,“ „ach, oi“ „w piekielnej przepaści,“ „ach—oi“!.. Ogarnęła go rozpacz; pokrył się zimnym potem; bez wiedzy i woli położył rękę na hamulec i zatrzymał koło.

Ale teraz nagle zrobiło się tak strasznie cicho... Czyby kto zmarł niespodzianie... Enoch cofnął się do suszarni i drzwi za sobą zamknął. Strasznie cicho. Tam leży trup... Lecz tu w mękach wije się dusza: „ach — oi, ach — oi!“ Dłużej wytrzymać tu nie mógł; zamknął suszarnię, drżąc z pośpiechu, schował zboże i wybiegł... ochłonął wtedy dopiero, kiedy znowu zobaczył swoje grunta pastewne.

Wtedy zdjęła go nagle taka szczera tęskność. Jak dziecko, które, zostawszy samo, zbłąkało się na drodze, zapomina o wszystkiem, gdy mrok zapadnie i płacze tylko, ojca wołając, tak i jemu świat cały wydał się ciemnością i grozą a dusza jego zaczęła płakać, płakać, wołając Boga, tego ojca, co tam przebywa w niebiosiech. Za płotem jakimś ukląkł: Och, tak pełny jestem troski, bo do Ciebie trafić nie mogę. O wielki, otworzyć mi racz wrota Twej Łaski, iżbym się w nie wśliznąć mógł, ciszę znalazł i spokoj... i odpuszczenie grzechów moich. O Boże, bądź dla mnie dobrym i nie każ mi zbyt długo za wrotami czekać. Widzisz przecież, że słaby jestem; zapomnij o złem, które czyniłem i wpuść mnie, o ty drogi Jezu Chryste!

Uspokoił się trochę, skierował się ku domowi. Atoli odpowiedzi od Boga nie otrzymał.

stwa poprawek i wygłaszania mów bez końca. Obliczono, że zaledwie lata Matuzala wystarczyłyby Gladstone'owi do załatwienia tych wszystkich wniosków i wysłuchania rozpraw. Bo jeżeli przeciwnicy zechcą, mogą nie dopuścić do głosowania w tym wieku.

## BADANIA NAUKOWE.

### PSYCHOLOGIA KOBIETY.

C. Lombroso i G. Ferrero. *La donna delinquente, la prostituta, e la donna normale.*

*III. Kobieta zbrodniarka.*

Uczciwa, a ściślej normalna kobieta jest istotą, pod względem moralnym i umysłowym upośledzoną w porównaniu z mężczyzną — tego zasadniczego poglądu nie należy ani na chwilę spuszczać z oka, kiedy rozpatrujemy książkę Lombrosa i Ferrera. Owo upośledzenie wyjaśniają oni tem, że płeć żeńska jest z natury swojej bardziej zachowawczą i oporniejszą na doskonalące wpływy postępu społecznego. Jeśli tedy jakaś kobieta mija się z drogą dozwolonych przez ustawę uczynków i popełnia zbrodnię, okoliczność ta bynajmniej jeszcze nie oznacza, aby występczyni musiała być koniecznie osobą nienormalną, naznaczoną jakiemś szczególnem piętnem Kainowem, wyróżniającem ją od reszty towarzyszek. Jeżeli np. z powodu swego okrucieństwa, podsunięcia komuś trucizny lub fałszerstwa staje ona przed kratkami sądowemi, nie wynika stąd jeszcze, aby w swojej duszy i ustroju fizyologicznym przedstawiała jakieś zwyrodnienie, w charakterze bowiem najnormalniejszej i „najuczciwszej" znajduje się dostateczna doza obłudy, kłamstwa, mściwości i podejścia, tłomacząca jej uczynek zbrodniczy. Nie posiada ona poszanowania cudzej własności, jak to uwydatnia statystyka paryskiego urzędu municypalnego. Zgubione przez kogoś a znalezione przedmioty zwracają za pomocą władzy prawowitemu właścicielowi niemal jedynie mężczyzni, kobiety w tej mierze należą do istotnych białych kruków. Równie ciekawych spostrzeżeń dostarczyły wielkie magazyny w Paryżu: 50% złodziejek kradnie nie dlatego, aby żyły z takiego zarobku, ani z potrzeby; są to damy, wprost niezdolne, wobec nagromadzonych skarbów mody, powstrzymać się od wyciągnięcia ręki po cudzą własność. Kobiety, zdaniem autorów, w ciągu pokoleń najzupełniej utraciły zdolność do odróżnienia tego, co jest dozwolonem a co nie względem cudzego majątku; przyzwyczaiły się od mężczyzny wszystko otrzymywać, czego tylko pragnęły — za zapłatę uśmiechem, i to rozciągnęły na wszelką własność. Najmniejsze okoliczności, które złożą się w sposób niepomyślny, doprowadzają przedstawicielkę płci żeńskiej do czynu zbrodniczego, naturalnie jeśli pobudka do tej zbrodni spoczywa w dziewiczym wstydzie lub w uczuciu macierzyńskiem (mianowicie kiedy idzie o ratunek dziecka przed oczekującą je nędzą). To przypuszczenie, że pomiędzy normalną kobietą a zbrodniarką przepaść nie jest tak głęboka, mają w zupełności potwierdzać fakty. Kiedy bardzo znaczny procent przestępców płci męzkiej nosi na sobie anatomiczne piętno zbrodni w postaci różnych nieprawidłowości i atawizmów, śród kobiet odpowiednia liczba jest nad wyraz nieznaczną. Z osobistych obserwacyj Lombrosa i Ferrera okazuje się, iż typ zbrodniarki u tych ostatnich spotyka się zaledwie śród 14—18%, tymczasem śród mężczyzn, mających do czynienia z kodeksem karnym, wynosi dwa razy tyle, bo 31%. Z poszukiwań innych badaczów wypada, że 57,8% ogółu przestępczyń zgoła nie zdradza najmniejszej oznaki anatomicznej, świadczącej o jakiejś nienormalności lub zwyrodnieniu fizycznem. Zbrodniarka bywa aż nazbyt często kobietą najnormalniejszą. Natomiast, jeśli przedstawia ona znamię Kainowe i zwyrodniałość uczuciową, rysy te nie mają już granic i kobieta w tym rzadkim wypadku przedstawia taką przewrotność, jakiej nadaremnie poszukiwalibyśmy śród zastępu najcięższych zbrodniarzów. „Jeżeli chorobliwa pobudliwość nerwowych ośrodków zaostrzy złe skłonności i każe w zbrodni poszukiwać ucieczki, jeżeli litość z uczuciem macierzyńskiem nie objawi się, jeżeli do tego dołączymy jeszcze silne namiętności wraz z potrzebami, wypływającemi z nadmiernej lubieżności, dostatecznie rozwiniętą siłę mięśni i inteligencyę zdolną do uplanowania zbrodni i wykonania, jest rzeczą jasną, że z takiej półzbrodniczej natury, jaką jest każda najnormalniejsza kobieta, musi ukazać się urodzona przestępczyni, przewyższająca swoją przewrotnością wszelkiego zbrodniarza. Jak potwornymi przestępcami stałyby się dzieci, gdyby posiadały wielkie namiętności, siłę i inteligencyę, oraz gdyby ich złe skłonności były podsycane przez chorobliwą nadpobudliwość! A kobiety są właśnie wielkimi dzieciakami; ich złe popędy są obfitsze i różnorodniejsze, aniżeli u mężczyzn, chociaż zwykle znajdują się w ukrytym stanie; lecz skoro zaczną się wyładowywać, wydadzą owoc odpowiedniej wielkości." W wielkiej zbrodniarce uderzają przedewszystkiem dwa rysy; z jednej strony występkowi nadaje ona taką barwę okrutną, wyrafinowaną, jakiej nie przedstawia nigdy świat męzki; powtóre każda wielka przestępczyni ma na swojej głowie takie mnóstwo występków, jakie rzadko widzimy u najcięższych zbrodniarzów, w takiem skojarzeniu, jakie jest obce mężczyźnie, np. trucicielstwo z mordem. Atoli taka krańcowość bywa nadzwyczaj rzadką. Znamiona fizyczne występują u nielicznych tylko zbrodniarek, przytem w niejednakowym stopniu u różnych kategoryj. Naprzod pojawiają się one u dzieciobójczyń, wynoszą bowiem zaledwie 8,7% — zgodnie z tem autorzy dzieciobójstwo systematycznie uważają za owoc przesądów społecznych, za zbrodnię natury przypadkowej. Natomiast u kobiet, karanych za czyny przeciwko publicznej obyczajności, obfitość typu zbrodniczego sięga już do 18,7%. Okoliczność ta pozostaje w zgodzie z zasadniczymi wywodami książki. Jak wiemy, zdaniem uczonych włochów, istotna zbrodniczość u kobiety rozpoczyna się dopiero tam, gdzie właściwa płci żeńskiej wstydliwość ustaje i swego napięcia dobiega u wrodzonych nierządnic. Nieco przydługa, ale do uwydatnienia wywodów Lombrosa i Ferrera niezbędna tabliczka statystyczna unaoczni nam tę względną obfitość typu zbrodniczego, polegającą na różnej nieprawidłowości czaszki itd. wśród poszczególnych kategoryj niewieścich:

| obfitość anomalii | uczciwa % | zabójczyni % | złodziejka % | nierządnica % |
|---|---|---|---|---|
| 0 | 32 | 10 | 40 | — |
| 1 | 35 | — | 6 | 4 |
| 2 | 21 | 14 | 18 | 12 |
| 3 | 4 | 38 | 22 | 22 |
| 4 | 2 | 16 | 14 | 30 |
| 5 | — | 16 | 20 | 16 |
| 6 | — | 4 | 10 | 12 |
| 7 | — | 2 | 6 | 22 |

VI.

Dzisiaj miano pochować Napolona.

Powietrze było chmurami brzemienne, brzydkie, napół zimowe, jesienne; lud jednak schodził się ze wszystkich stron do kostnicy. Napolona znano na całą okolicę. A wszyscy myśleli sobie, że przecież zobaczyć go wypada.

Może też zadowoleni byli, że usunął się z sąsiedztwa. Przez całe życie strachem napełniał gminę. Zawsze to lżej wiedzieć, że dobrze go schowano; co na tmentarzu — to i z drogi.

Enoch myślał nie pójść. Obawiał się, że go to zanadto przejmie. A przytem zasiąść do stypy po człowieku niezbawionym wydało mu się strasznem. Wszakże w dniu pogrzebu zmienił postanowienie.

Owszem, to będzie właśnie widok dla niego; trzeba wiedzieć, jak wygląda człowiek, który poszedł do piekła. Bo Enoch wierzył, że i on do piekła pójdzie.

Bóg go nie chciał. Daremne te noce bez snu, daremne wszelkie modlitwy; pomocy nie miał, raczej coraz mu było gorzej. A i czegóż mógł się spodziewać? Popełnił grzech, za który nie było przebaczenia. „Grzech śmiertelny..." Pewnego dnia tak mu to jasno stanęło przed oczami, że nie miał już żadnych wątpliwości.

Anna zapytała go, czy nie czas już pójść do komunii.

— Możeby ci to dobrze teraz zrobiło? — mówiła w najlepszem mniemaniu.

Aż coś w nim zadrżało. Spożyć wieczerzę pańską, skoro się nie jest nawróconym? Zjeść i wypić własne na siebie przekleństwo?! Któżby to śmiał? Odpowiedział takiem ostrem, krótkiem „nie," że Anna spojrzała tylko na niego i zamilkła.

Lecz w tejże chwili usłyszał w sobie coś, jakby szept: „przecież sam to czyniłeś, Enochu, tyle, tyle razy."

Zdrętwiał formalnie. W uszach mu dzwoniło: „zjeść i wypić własne na siebie przekleństwo; zjeść i wypić własne na siebie przekleństwo..."

Odtąd chodził jakby nieprzytomny, jakby chory, opadały go dreszcze, oblewał pot zimny; kolana uginały się, a pewnego wieczoru, kiedy stojąc w piwnicy i rozmyślając nad krwawym swoim grzechem, zatonął w głębokiej zadumie, usłyszał w sobie wyraźny głos, który mówił: „to jest bluźnierstwo przeciwko Duchowi świętemu."

Więc teraz musi zobaczyć Napolona Storbrekke.

Narzucił na siebie odzież i dosiadł konia; Anna nie wiedziała, co o tem myśleć. A może to i dobrze, że wyjechał, że pobędzie między ludźmi.

Na pogrzeb przybył w ostatniej chwili. Jadło było już uprzątnięte, tylko dzwonnik siedział i jadł jeszcze. Stary Salomon, ojciec nieboszczyka, kiedy niekiedy przystępował, zapraszając do jedzenia. Nie poznać po nim nieszczęścia; był takim, jakim bywał zawsze. Biedny, nieostrożny starzec, nawet to zbudzić go nie zdołało.

Zresztą cicho było w izbie. Wszystkie głowy pochylały się pod brzemieniem ciężkich myśli; tu i owdzie słychać westchnienie. Gęsty, duszny zaduch wypełniał dom cały, zapach jadła, woń trupa, woń spalonego laku. Zwierciadło i wszystko to, co połyskiwało, zawieszono według zwyczaju białemi chustami; ponad niemi — wieńce. Zegar zatrzymano. Żona Napolona siedziała z innemi babami w sąsiedniej izbie. Enochowi zdawało się od czasu do czasu, że słyszy wychodzące stamtąd szlochanie. Przy szarym końcu stołu znalazł sobie krzesło, siadł więc i podparłszy głowę rękami, spoglądał nieruchomie przed siebie. Zapraszali go na przeciwległą stronę, chcieli częstować, ale on szorstko odmówił. Jeść nie chce, tylko siedzieć.

Dzwonnik zjadł. Wszedł do izby człowiek, niosąc dwa stołki, które postawił na podłodze w nieznacznem od siebie oddaleniu; zarzucono na nie prześcieradło. Enoch czuł przygnębienie, przestrach; w uszach mu dzwoniło, przed oczami migotały czarne płaty. Z zewnątrz dolatywał jakiś głu-

Dochodzi do tego, że nawet „przypadkowa“ prostytutka, która jeszcze posiada właściwe płci swojej poczucie wstydliwości, nie przeniewierzyła się popędom zdrowym i nie czuje żądzy nienaturalnej, nie utraciła instynktu macierzyńskiego, że nawet taka nierządnica częściej przedstawia fizyczne dowody zwyrodniałości, które należy uważać za równoznaczne ze znamionami urodzonego zbrodniarza - mężczyzny, aniżeli to spotykamy u najcięższych przestępczyń płci żeńskiej, które nie sprzedają pierwszemu lepszemu przechodniowi swoich wdzięków. Co zaś do przypadkowej zbrodniarki, to niczem nie odróżnia się ona od kobiety normalnej. Istotnie — mówią autorzy — taka przestępczyni aż nazbyt często popełnia występek, parta ku temu przez instynkty najszlachetniejszej natury: kradnie, truje, czyni oszustwa z miłości dla rodziny, dzieci, kochanka. Słaba umysłowo, niewolniczo poddająca się wpływowi mężczyzny, jest nader często taką, jakiem jest otoczenie, w którem przebywa. Poddaje się łatwo suggestyi i pod jej wpływem przekracza granice, wyznaczone przez kodeks karny. Badacze włoscy cofają się aż do dzikiego bytu, ażeby wyjaśnić tę nieobecność typu zbrodniczego u kobiety. Mężczyzna od najpierwszej chwili dokonywał doboru, wybierając za żony te dziewczęta, które odznaczały się powabami fizycznymi, lecz nigdy nie pytał wtedy o naturę duchową.

Ale jeżeli zbrodni niewieściej, mianowicie w tych wypadkach, gdzie potrzeba użyć nie podejścia, ale gwałtu i energii, towarzyszą niekiedy znamiona fizyczne; jeśli prostytutka posiada je w dostatku, to czyż niepodobna było znaleźć jakiegoś wspólnego mianownika, do którego daloby się sprowadzić wszystkie to rysy; czy nie można było ich ująć w jakąś ogólną formułę? Na to Lombroso i Ferrero odpowiadają twierdząco; co więcej, pod ową formułkę usiłują podciągnąć nie tylko urodzoną zbrodniarkę i nierządnicę, ale wszelkie postacie świata niewieściego, które w ten lub inny sposób opuściły pole zwykłych zajęć i widnokręgów płci swojej, a zatem kobiety uczone, literatki, samobójczynie i in. Jest to mianowicie pewna męzkość twarzy, ruchu, charakteru, pewne wyzucie się z normalnych popędów płciowych i instynktów macierzyńskich. W książce znajdujemy nawet tablicę z portretami utalentowanych kobiet, mającą niby potwierdzić ten pogląd. Szkoda tylko, że autorzy nie raczyli podać nazwisk owych kobiet, które nawet w swojej twarzy zdradzają męzkością rysów posiadanie talentu; co do nas, dostrzegliśmy u niektórych jedynie wyraz energii, właściwy każdemu wierzącemu w swoje siły, a u wielu nie zauważyliśmy najmniejszej męzkości. Lombroso i Ferrero są gotowi nawet twierdzić, że wiele cnót niewieścich idzie w parze z taką zmianą rysów twarzy względem typu właściwego płci żeńskiej. Jeżeli np. pomiędzy kobietami istnieje węzeł istotnej przyjaźni, wtedy napewno jedna z przyjaciółek będzie taką kobietą „męzką“; a ponieważ rysy tego rodzaju zdarzają się u prostytutek częściej, aniżeli u kobiet moralnych, przeto odnośna kategorya niewieścia jest grupą, najczęściej i najsilniej niby hołdującą temu uczuciu. Nawet jeżeli kobieta za pomocą rewolweru lub witryoleju mści się na mężczyźnie za zdradę, czyni to dlatego, ponieważ dusza jej jest zbyt męzką. Dajmy zresztą słowo samym autorom. „Czysta i wielka namiętność doprowadzi zakochaną kobietę raczej do samobójstwa lub obłąkania, aniżeli do zbrodni; jeżeli dopuszcza się ona czynu występnego, jest to świadectwem, że może tkwi w niej ukryte źródło zbrodniczości. Istotną zbrodnię — jeżeli to można uważać za zbrodnią — dyktowaną kobiecie przez namiętność miłości, jest samobójstwo; inne drogi są już formami, zdradzającemi hybrydyzm. Jeżeli tak często spotykamy wzmiankę o męzkim wyglądzie u występczyń z namiętności, nie trudno zrozumieć tę zagadkę: zbrodniarki namiętne popełniają czyn gwałtowny względem kochanka, gdyż kochają go w sposób męzki.“

Dla uzupełnienia wywodów Lombrosa i Ferrera o psychologii kobiecej, zatrzymamy się jeszcze nieco nad jedną postacią świata żeńskiego — histeryczkę. Zdaje się, iż autorzy, chociaż nie wypowiedzieli się systematycznie w tym przedmiocie uważają histeryczkę za istotę, zdolną do najrozmaitszych czynów, stosownie do podkładu uczuciowego. Jeżeli ta forma rozstroju nerwowego padnie na grunt z silnymi instynktami współczucia i litości oraz niewygórowanego „ja“, wytworzy osoby z nadzwyczajnie silnem uczuciem altruistycznem. W większości jednak wypadków histerya zradza wysoce ujemne i niezdrowe typy, dające ciężko odczuć całemu swojemu otoczeniu kaprysność i chorobliwość swojej natury. Przedewszystkiem rzuca się u nich w oczy zupełna bezwładność ideowa — są one wciąż czyjemś odbiciem, niby maryonetki, poruszane przez znajdujące się na zewnątrz sprężyny. Z powyższą właściwością łączy się lenistwo, ukrywane ciągłem porzucaniem dawnych żądz, celów, zamiarów, wraz z wybujałą żądzą sławy, bo inaczej niepodobna określić chęci bezustannego błyszczenia. Lecz najwydatniejszym rysem jest lubieżność, pragnąca ciągłej zmiany co do osoby mężczyzny; jeżeli wstydliwość lub honor powstrzymują histeryczkę od rzucania się na szyję pierwszego lepszego mężczyzny, wtedy ucieka się do platoniczniejszych równoważników — spacerów pod rękę z coraz innym i wstrętu do tego, któremu oddała się jako żona, do korzystania z męzkiej pomocy przy zdejmowaniu kaloszy itd. Kłamstwo i obłuda, wogóle namiętność hypokryzyi i machiawelizmu, są nieodłącznemi jej cechami. A wszystkie te znamiona duchowe dochodzą do nadzwyczajnego natężenia w pewnych okresach życia kobiecego. Nie dziw, że przy takiej naturze histeryczka dostarcza zastępowi zbrodniczemu bardzo wysokiego procentu. Przytem pewne formy przestępstw są zwłaszcza ukochane przez nią. Przoduje ona wśród fałszywych denuncyatek i potwarczyń; następnie u złodziejek stanowi od 25% do 50% ogółu. Prostytucya bywa często karmiona z tego źródła. Legrand de Saulle znalazł u kapłanek *Veneris vagae* aż 13% takich kobiet, które oddawały się temu rzemiosłu z prostego dyletantyzmu, a wszystkie były histeryczkami.

*L. K.*

---

## LITERATURA I SZTUKA.

### ZBAWCY LITERATURY.

I.

Nareszcie — stanęliśmy na samym cuplu Parnasu.

Powinszujemy sobie wzajemnie, uściśnijmy dłonie, padnijmy sobie w objęcia, palnijmy parę mówek okolicznościowych... Ach nie. Tych mamy dosyć, z nich to właśnie płynie z hałasem na świat wiadomość, żeśmy śród narodów piszących

---

chy szum, słychać było niepewne kroki... oto go wnosili.

Sześciu chłopów dźwigało długą, czarną skrzynię, którą postawili na owych stołkach.

Podniesiono wieko. Kobieta jakaś odchyliła całun z twarzy i rąk. Niektórzy podeszli do trumny; w izbie rozlegał się pomruk i westchnienia. Enoch nie śmiał rzucić na trupa okiem.

Czy to zapach siarki? Kręciło mu się w głowie. Wyobrażał sobie, że z trupa bić będą płomienie, małe, żółte, unoszące się z oblicza i włosów. Zanim się opamiętał, już oczy zwrócił w tamtą stronę. Tu więc leżał Napoleon.

Wyglądał, jak każdy inny trup. Zapadły, wychudły, nienaturalnie długi; ramiona miał wązkie, jak fajki. Twarz pokryta sinemi plamami, nos większy, niż dawniej, lecz silnie zagięty. Twarz nie wyrażała ani lęku, ani spokoju; nie miała żadnego wyrazu; wyglądała głupio, bezmyślnie. Enoch wzniósł się na palcach, chciał lepiej widzieć. Lecz w tejże chwili trupa przykryto, wieko zamknięto. Dobrze, że umarli krzyczeć nie mogą...

Głośno, tym szczególnym swoim dźwiękiem rozległy się po domu uderzenia młota. Na trumnie postawiono dwie palące się świece. Dzwonnik, człowiek młody, prosty, w butach do konnej jazdy i długim spencerze, stanął u głów trumny; w jednej ręce trzymał kapelusz, psałterz — w drugiej; był sztywny, wyglądał uroczyście. „W imię Pana Jezusa.“

Potem nastąpił ów znany psalm, który ludzie tak chętnie odśpiewują przy pogrzebach. Melodya jego przedziwna: smutna a skarżąca się, a jednak łagodna, pociechę i ufność niosąca, Boga w szczerej modlitwie szukająca, pełna miękkiej wiary.

Na dworze grzmiało i huczało. O okna biły długie, ciężkie, z gradem zmieszane krople deszczu. Niebo tak się schmurzyło, że aż mrok zaległ; świece na wieku trumiennem płonęły światłem żółtawo-bladem, matowem.

Zwolna, uroczyście płynęła pieśń w miękkich swoich, celskich tonach, a każda następna strofa była łagodniejszą, piękniejszą, coraz więcej nadziei pełną, aż wszystko zbierało się w jasne, ponętne sny niebiańskie.

Z szarego końca stołu odezwały się jak gdyby jęki; wielu zwróciło oczy na Enocha Haawe; był taki blady. A czarne włosy lepiły się potem, mokre przylegały do czoła.

Odstawiono świece. Sześciu chłopów podniosło trumnę. Dzwonnik włożył kapelusz na głowę i śpiewając naprzód przekroczył próg. Za nim poniesiono trupa; za trumną szli ci, co ją odprowadzać mieli — po dwóch, trzech obok siebie.

Enoch siedział cichy, twarz ukrył w dłoniach — aż wszyscy wyszli. Łagodne myśli o niebie i modlitwa, taka pełna nadziei i błogości przejęły go — płakał.

Przez wzgórza wił się orszak pogrzebowy, wił się długim, czarnym wężem wśród ciężkiej niepogody. Dzwonnik posuwał się na swoim siwoszu przodem. Ostry jego tenor mieszał się w świście z wiatrem, który unosił tony pieśni pogrzebowej ponad błota i pastwiska.

I lunęła ulewa.

Wicher szamotał się z belkami narożnie, to silniej, to znów słabiej, jak morze szamocze się z kabłąkiem okrętu. Trzeszczało i huczało w ścianach i krokwiach.

— Tak, tak, to już zima nadchodzi — mówiła Anna.

Wróciły z obory, przecedziły mleko, uporządkowały izbę, usiadły przy lampce tranowej i przędły — pani i sługa. Ale światło drżało i migotało tak, jakby już miało zgasnąć.

— Dziś wieczór dobrze tym, którzy są na lądzie — rzekła Marta.

— O tak, nie bardzo by tam było człowiekowi raźno, gdyby kogoś ze swoich miał dziś na morzu.

(D. c. n.)

i poetyzujących zajęli pierwsze miejsce. Mowy te są już nawet drukowane, noszą miano sprawozdań i ocen krytycznych i głaszczą oko nasze wypisanem czarno na białem, odkryciem, że z drzewa naszej literatury padają soczyste i orzeźwiające, piękniejsze od Hesperyjskich jabłka. Jest ich tak dużo, że nietylko zaspakajają potrzeby miejscowe, ale nawet mogą być wywożone za granicę. Jakąś nowelę Sienkiewicza ktoś gdzieś przetłomaczył i wydał 2400 egzemplarzy. „Naftę“ Sewera rozlewają w „miliony“ beczek i wysyłają na Saharę, w przekonaniu, że będzie to najlepszy sposób przekształcenia jej w morze Ropejskie (ogromnie dużo ropy). „Najmłodszych“ Krechowieckiego, po odpowiedniem przegotowaniu i zaprawieniu miętą, rozdawać będą darmo i w dowolnej ilości w miejscowościach dotkniętych cholerą. „Mechesom“ Gawalewicza będą dosztukowywać nieskończoną liczbę dalszych ciągów i tomów dla przedłużenia ich egzystencyi, oraz powetowania im pewnych datujących się z wczesnego dzieciństwa braków.

Wszystko, co ma trochę oleju w głowie, francuskiej, niemieckiej, czy angielskiej, przemyśliwa teraz jedynie nad tem, jakby naszych wielkich powieściopisarzów przenieść żywcem i bez uszkodzenia do siebie i księgarze stolic Europy zmuszeni są chronić się zmową od najazdu polskich arcydzieł.

Rozumie się, że tak błogiego stanu rzeczy nie maluje z należytą dosadnością słownik stopni najwyższych, używany przez przysięgłych krytyków syreniego grodu. Wyrazy: „mistrzowski“ i „jedno z najważniejszych wydarzeń współczesnego piśmiennictwa“ zdarza się nam spotykać zarówno na łamach drobniejszych dzienników i obrazkowych *familienblattów* jak i na kartach poważnych miesięczników — i to coraz częściej. A skoro mądre przysłowie mówi — *vox populi*, *vox dei* — więc i w tych uniesieniach musi tkwić dużo poważnej rękojmi, że naprawdę zdobyliśmy wyżyny niedościgniione?

A może są te pochwały jedynie potokiem, któremu ktoś zepsuł szluzę, i który toczy się nie tyle masą wód, ile pędem i jeno wydaje się wezbranym? Bo niektórzy nasi krytycy robią teraz wrażenie, jakgdyby się im zepsuła kanalizacya i wprost nie byli w stanie pohamować rozluźnionego wypływu słodyczy. Lub może to w swoim rodzaju cukrowa choroba, wynikająca z niewłaściwego przyswajania przez ustrój pokarmów i byłoby dobrze rozpocząć pewną dyetę a nawet leczenie?

Czuję już, jak chór benjaminków woła w niebogłosy: „To wy chcecie zabijać młode talenta, tratować młode latorośle, świeżą trawkę itd.“

Rzecz dziwna, jak się u nas szafuje tego rodzaju „zabijaniem.“ Myślałby kto, że wszyscy krytycy, nie częstujący autorów szczerości całuskami, są co najmniej fabrykantami aniołków. A tymczasem nie ma roku, ażeby na widownię nie występowały i w krótkim czasie nie wkraczały na domowy Kapitol całe tuziny literackich niemowląt, którym się tak dobrze dzieje na świecie i tak dzięki puklerzowi bractwa wzajemnej adoracyi bezpiecznie, że żadne groty krytyków-zbrodniarzy ich nie dosięgną. Pamiętam parę lat temu, ośmieliłem się wypowiedzieć trochę oględniej swój zachwyt dla pewnego beletrysty — nazajutrz zaprzyjaźnione z nim pismo ni ztąd ni zowąd zamieściło dlań panegiryk z wyjątków gazet wiedeńskich, padających jakoby czołem przed moją ofiarą. Innym razem kiedy niżej podpisany zamieścił w jednym z tygodników obszerniejszy rozbiór utworów Estei, koleżanki jej po piórze, uznając iż sąd był za surowy, czy tam za mało bezstronny, zamierzały publicznie przeciw niemu protestować. Co nie przeszkodziło jednak, że od owej pory wydęta wielkość tej powieściopisarki wróciła do legendy, z której była wzięta i że ją określano później własnymi słowami pierwszego jej „prześladowcy.“ Z pewnym znów tygodnikiem pozamiejscowym wypadało rozejść się, ponieważ nie chciał pomieścić uwag o pani Śnieżko-Zapolskiej, uwag dotyczących pewnego występu w sprawie wykształcenia kobiet, tak zabawnego, iż nie śmiać się mogły jedynie kobiety, traktowane w nim jak wachlarze z kości słoniowej, jak neseserki lub pinczerki do zabawy starych dewotek. Za to żem nie okazał pół-boskiej czci Witkiewiczowi, bo zdradzał nieuctwo i cierpiał na manię wielkości, jakiś bałwochwalca obrzucił mię błotem i utyskiwał, że czytając mój artykuł o „Sztuce i krytyce“ dostaje bólu wnętrzności. (Było to zapewnienie całkiem zbyteczne. Sama woń filipiki p. Jabłczyńskiego świadczyła, o ile była rezultatem bólu kiszek).

Gdzie tu więc może być mowa o zabijaniu młodych talentów? Zrzućmy raz z siebie maskę, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że dziś wypowiedzieć swój sąd otwarcie i stanowczo — potrafi jeno zrozpaczony śmiałek. My wszyscy, którzy się chełpimy niezależnością sądu, zostaliśmy przez oligarchów reklamy pobici, ujarzmieni i niejednemu już kopyto ich dało się we znaki. Dziś każdy artykuł krytyczny ulega takiemu procesowi, jak płótno — bielenie się na biało, ażeby „piękna czytelniczka“ nie została przypadkiem niemile urażoną szorstkiem porównaniem, przycinkiem lub żeby któremu z pieszczochów opinii włosek z głowy nie spadł *). Oszukujemy siebie samych i tumanimy ogół, który za dobrą monetę bierze to, cośmy napisali po porozumieniu się poufnem z pewnym autorem, pewną redakcyą, lub pewną panią domu, otwierającego swoje drzwi dla świata literacko-artystycznego. W przypuszczeniu — kto wie, może zarozumiałem — iż to kogoś obchodzić będzie — powiem szczerze, iż lat temu osiem gdy nasze piśmiennictwo stało o wiele więcej niż dzisiaj, łatwiej mi było zdobyć się na krytykę wyrazistą, niedwuznaczną, niż dzisiaj, kiedy ta i owa zachwalana powieść budzi we mnie wprost obrzydzenie lub wstręt. A jeśli wolno siebie małego zestawiać z wielkimi, to powiedzmy, że i oni stracili dawną swą jędrność i trzeźwość sądu, i stali się wyrozumiałymi i pobłażliwymi nad miarę. Mam tu na myśli głównie Piotra Chmielowskiego, którego niezmiernie wysoko stawiam i cenię, ale ponieważ leży mi na sercu dobro i żywotność ruchu literackiego, przeto trudno mi nie żałować, że on najbardziej wpływowy, najbardziej czytany, spokojny i wytrawny krytyk, puścił ostatniemi czasy przez swą probiernię parę takich utworów, które bezwarunkowo odpowiedniej zawartości kruszcu nie miały.

Czy to znaczy, że Chmielowski lub inni postarzeli się i złagodnieli z mocy samego przepracowania się i przeżycia? Nic podobnego — po prostu za każdym z nich stoi zły duch koleżeńskiej uprzejmości. Często wskutek tego krytyki brzmią wprost zabawnie albo zagadkowo. Nie mówi się w nich o treści książki autora ani jego dążeniach, ani o tem czy przyniósł z sobą coś innego, lub czy nie wałkuje dawnych—tylko mniej więcej tak:

„W każdym razie podziwiać i uznać należy cywilną odwagę p. X, który pierwszy zwrócił uwagę na wielką ranę społeczną.“

„P. Y. ze znaną gruntownością polemizuje tutaj z p. Z.“, aczkolwiek panu Y nie śniło się bynajmniej o polemice, a jeno cytatami urozmaicić chciał wiązankę myśli mniej lub więcej samodzielnych i nowych.

*) W jednym z tygodników drukowałem zeszłego lata wrażenia z nad morza Bałtyckiego. Wyrzucano mi tam systematycznie wzmianki o *flondrach*, którymi kaszubi częstują gości, do moich efektów *żałosnych*, dodawano swoje *wesołe*, ażeby zatrzeć wrażenie melancholii...

Te i tym podobne artykuły nie są bynajmniej wynikiem nieznajomości rzeczy, bo tej bądź co bądź u nas nie braknie, ale dyplomacyi z pomocą której krytyk spodziewa się przepłynąć szczęśliwie między Scyllą i Charybdą, między nieprzyjemną nagą prawdą a względami osobistej sympatyi. Nieraz też chciałby może wyrżnąć pochwałę, ale musi się rachować z tymi, co owego kandydata do dziennikarskiego lauru nie lubią. Jednemu np. z krytyków, który był o tyle uczciwym i nieostrożnym, że z pewnem ciepłem oceniał pewną książkę, kolega redakcyjny, człek wielkiego wpływu i znaczenia w teatrze i literaturze: rzekł: „Co u licha, czy pan już teraz wszystkich będziesz chwalił?“

Cała bieda, że kopalnie tego rodzaju zdarzonek i fakcików wydobywać na jaw nie można — no poprostu dla tego, że wnet zostałoby się wyświeconym z towarzystwa porządnych ludzi i człeka rychło zabito by milczeniem — inaczej o prześwietna publiczności, która czytujesz pisma, jakby ci się odmiennie przedstawił ten zaczarowany, imponujący, kierowniczy świat literatury bieżącej. Dowiedziałabyś się najpierw o jednej wielce ciekawej historyi: że my piszący poznajemy się wcale nie gorzej na nowych utworach lub sztukach i w kółku zaufanem, przy czarnej kawie, dworujemy sobie z nich okrutnie, suchej nitki nie zostawiamy — ale gdy wypada wziąć pióro do rąk, wnet anielska dobroć rozlewa się po naszem sercu i za pomocą tajemnych arteryj przechodzi aż do kałamarza.

Nie jestem dotkrynerem. Nie uznaję rąbaniny żakowskiej, już choćby z pobudek artystycznych, albowiem sądzę, że daleko więcej powabu ma pisarz, który potrafi sąd rzetelny i umotywowany, choćby najbardziej nieprzychylny, wypowiedzieć zręcznie, bez jadu i żółci, bez hypokondryi i znęcania się nad każdem słowem skazańca, niż pisarz, który wali obuchem przez łeb i ogłusza z miejsca, ciesząc się ujazdowskiem dziwowiskiem dla tłumu, który potem oblizuje palce: „A to go zjeździł!“ Nawet najgorszemu typowi debiutantów, o których nic dobrego powiedzieć się nie da, mianowicie grafomanom, można jeszcze osłodzić pigułkę mówiąc np. Pan NN. byłby doskonałym prezesem towarzystwa *** lub też, jakby powiedział nieoceniony Kostrzewski, dobrym „byłym obywatelem,“ ale w utworach jego znać pewną niezaradność i chwiejność w rzeczach pisowni. Sądzimy zresztą, że z wiekiem drobne te usterki miną itp.

Na wszelkie formy krytyki można się zgodzić, tylko nie na kłamliwe, zagadkowe i niepowołane, czyli te co to nie zajrzą nigdy do wnętrza dzieła, jeno nadchrobocą je z wierzchu modą szczurków i nie mogąc ugryźć obrzydzą ludziom. Pod ciepłym tchem dyletantyzmu miejscowego, ten gatunek ocen rozmnaża się przerażająco, uniwersalność krytyki zrywa wszelkie tamy i sprawia, że nikt nie jest pewnym swego jutra i swego życia. Oto — skąd grozi istotne niebezpieczeństwo, bo astronom może się znaleźć na stole operacyjnym reportera, filozof inżeniera, poeta — finansisty, historyk — sprawozdawczyni od balowych sukien itp. Takie krytyki są rzeczywiście — konowalstwem, w nich wyrywa się zęby razem z dziąsłami. W nich nie ma ani znawstwa, ani sumienia, ani powagi, a tylko żądza zarobku, pogoń za efektem lub oklaskiem swojej rodziny lub przymus ze strony wydawcy-przedsiębiorcy.

Niestety jednak, nie przeciw tej zarazie piorunują u nas literackie bawidamki. Oni wiedzą, że im z tej strony nic złego nie grozi, że każdy zaśpiewa im jak wyuczony szpak. Jeśli bronią się, to przeciw współzawodowcom, krytykom wtajemniczonym, których farbowane lisy w błąd nie wprowadzą. A co najsmutniejsze, to, że w paru pismach poważnych spotkać można było

ostatnimi czasy nawoływania do większej łagodności.

Czy to kpiny?

Nie, to po prostu dzieciństwo i niedowarzoność. Przeczytajcie parę krytyk francuskich, ot, dajmy na to z dziennika Goncourtów. Zobaczycie, że tam najlepsi kamraci z tej samej cyganeryi i tych samych salonów księżnej Matyldy, lub restauracyi Magny'ego umieją ciąć sobie prawdę, nawet drwić z siebie i zasadniczo wrogie pod względem szkoły i poglądu zajmować stanowisko i węzły przyjaźni nic na tem nie cierpią. Jak np. szydzono z ciężkiego Taine'a. *Poczciwe Taine'isko!* (vide p. Ochorowicz). Jak boleśnie parodyowano jego teorye. Znaczy to, żeśmy poprostu nie zwarli się z sobą jako podniosły cech literacki, skoro nie pojmujemy dwu szczytnych jego zasad: 1) poszanowania dla literatury samej, wyższej nad prywatne usłużki, 2) wzajemnej sympatyi nibykierowników opinii, ważniejszej nad miałkie żale i brykające indywidualizmy.

Lecz nim postaram się wykazać, do czego doprowadziło nas bractwo wzajemnej adoracyi, darujcie jedno pytanie. Czy krytyka ostra może wogólności zabić talent? Nigdy w życiu. Talent, to panie dobrodzieju, takie drzewko, że go najcięższa nawet stopa nie zdepcze; ugnie się na chwilę, ale wnet wyprostuje: Trawkę—owszem zgnieść można, ale na tem świat niewiele traci. Talent to dębczak, który nadtrzaskać mogą gromy życia, strawić wewnętrzne ognie i niespodziane klęski. Ale z każdej burzy wychodzi on jeszcze bardziej zielony i świeży.

Bywają w rzeczy samej doby, niedorosłe do zrozumienia nowego prądu, nowej idei, nowej sztuki — ale to się już dziś nie zdarza, kiedy różnobarwne nad dawne pojęcia społeczeństwo gotowem jest do spożycia wszelkich, najdziwaczniejszych pomysłów. Póki rządziła jedna klasa — mogła ona przez naturalną niemożność wyjścia z własnej skóry, zostać nieczułą na piękno lub prawdę przyszłości. Ale ci, na których się u nas tak troskliwie chucha, mają doprawdy tak mało wspólnego z przyszłością! Oni troszczą się tylko o teraźniejszość i to w dodatku swoją, sytą i zadowoloną, a jeśli karmią czemkolwiek i nas, to dalibóg, jedynie ku wygodzie lekarzy i „oficyny zdrowia.“

*Cezary Jelenta.*

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

## LICHWA W GALICYI.

### II.

W tych potwornych praktykach lichwiarskich nie bez słuszności upatruje dr. Caro jeden z głównych powodów emigracyi ludu galicyjskiego. Bankierzy wiejscy i tutaj oddawali owym obrabowanym dłużnikom nowe usługi. Zawiązywali stosunki z bremeńskiemi lub hamburskiemi przedsiębiorstwami emigracyjnemi i za stosowną prowizyę rozpoczynali agitacyę, nakłaniając ludność wiejską do wychodźtwa. Całe biura złożone z szynkarzy i lichwiarzy wiejskich były i są jeszcze dotychczas czynne. W ten sposób wysłano do Ameryki od r. 1873 do 1891 w przybliżeniu około 270,000 galicyan. Jeżeli zaś przyjmiemy, że lichwiarze miejscowi przez zakup gruntów, bydła itp. za bezcen od wychodźców zarobili od jednego przeciętnie tylko 50 złr., to pokaże się, że wogóle na wychodźtwie galicyjskiem zyskali w tych latach przeszło 13 milionów złr. Banki lichwiarskie, które w tym czasie powstały wrzekomo, aby wydrzeć chłopa z pazurów drobnych lichwiarzów, podobnie jak kasy zaliczkowe, miały wpływ o tyle chyba korzystny, że pobierany przez nie procent, chociaż według pojęć europejskich niesłychanie wysoki, zawsze był bez porównania niższym od tego, jaki sobie kazali płacić lichwiarze wiejscy. Atoli chłop, który się zapożyczył w takim banku, żeby się wydobyć z rąk lichwiarskich, musiał ujrzeć się w takiem położeniu, że nie mogąc spłacić drugiej lub trzeciej raty, a nie chcąc podpaść pod egzekucyę, powracał znowu do swego starego manicheusza, przepraszał go za swą czarną niewdzięczność i zaciągał na bardziej uciążliwych warunkach nowy dług dla pokrycia raty bankowej. Był to labirynt bez wyjścia, zaklęte koło nędzy i wyzysku. Nie dziw przeto, że wiele reprezentacyj powiatowych wyraziło opinię, że chłop nasz nie jest przygotowany do żadnego kredytu, chyba tylko do lichwy. Jakiż skutek miała zaprowadzona w r. 1877 ustawa? W niektórych powiatach pozostała martwą literą, co więcej starostwa wprost zarzucają sądowi wspólwinę w wyzysku lichwiarskim. Natomiast w 58 pow. wywarła skutek korzystny, a w 23 pow. lichwiarzy wprost ogarnął przestrach. Jedni robili ustępstwa ze swych pretensyj, wielka część wprost wypowiadała wypożyczone pieniądze, inni emigrowali do Rumunii, gdzie moglij swobodniej praktykować swoje rzemiosło. Panika ta niedługo jednak trwała. Lichwiarze bowiem widząc, że nowa ustawa wstecz nie działa, zaczęli egzekwować długi z dawną bezwzględnością, nie dawali natomiast dalszego kredytu nawet najgodniejszym. Sądzili zapewne, że tym sposobem złamią prawo, gdy się to jednak okazało daremnem, rozpoczęli pomaleńku swe roboty na nowo. Jeżeli teraz chłop chciał mieć pieniądze, musiał się zgodzić na najuciążliwsze warunki, a przytem leżało to w jego interesie taić lichwiarza, gdyż inaczej musiałby stracić to jedyne źródło kredytu. Rozpoczęły się przytem rozmaite omijania ustawy. Najczęściej dłużnik podpisywał weksel lub rewers na sumę większą od wypożyczonej lub też prócz owego dokumentu umawiał się ustnie o procenty, których płacenie wymuszał na nim wierzyciel groźbą natychmiastowego wypowiedzenia kapitału. Często zdarzały się i takie umowy, że suma wypożyczona figurowała jako cena kupna majątku dłużnika, przyczem lichwiarz „koncedował“ chłopu, że do pewnego czasu obowiązany mu jest za pewną, zazwyczaj znacznie wyższą cenę majątek jego odsprzedać. W ten sposób wielkie obszary gruntów chłopskich przeszły za bezcen w ręce lichwiarzy. To znowu zobowiązywał się dłużnik trzymać u siebie bydło lichwiarza na wypasie lub robić mu w polu, brać za procent mleko, drób, zboże w ilościach przewyższających nieraz nietylko procenty, ale i cały dług. Gdzie lichwiarz posiadał kramy i sklepy, zdzierał niemiłosiernie swych dłużników na cenach towarów.

Spojrzmy teraz, jakimi strumieniami rozlewała się ta horda po kraju. W pierwszych latach istnienia banków, dzięki agitacyi agentów pośród ludności wiejskiej Galicyi wschodniej, zapanowała formalna gorączka kredytowa. Natomiast znaczny stopień umysłowej dojrzałości i świadomości przypisać trzeba włościaństwu powiatów zachodnich, ze wschodnich oszczędzony został stosunkowo jeden tylko, podhajecki. Szereg przypadłości miejscowych przyczynił się do zwiększenia klęski: nieurodzaje, lichwa prywatna, grady. Obliczywszy rozmiary spustoszenia bankowego w stosunku do obszaru ziemi w Galicyi i do ogólnej liczby ludności, dr. Caro wnioskuje, że co najmniej każdy 20-ty włościanin był w banku zadłużony i musiał się dać mniej lub więcej oskubać. W Galicyi wschodniej, gdzie na wielką przestrzeń i znaczną liczbę ludności przypada tylko jedna szkoła, gdzie lekkomyślne zawieranie małżeństw powoduje wielką płodność, wysoki procent dzieci nieślubnych i nieodłączną od tego wielką śmiertelność, tam też ludność, zdziesiątkowana chorobami, wynędzniała materyalnie i umysłowo, nie myślała o wypełnieniu wziętych na siebie zobowiązań i patrzała niedbale i z fatalizmem na to, co jej groziło. Natomiast w Galicyi zachodniej, gdzie oświata większe poczyniła postępy, a liczba małżeństw, dzieci nieślubnych i śmiertelności jest mniejszą, panował większy rygor w spłacie długów bankowych.

Obok lichwy prywatnej grasowała bankowa, której skutki charakteryzuje dr. Caro cyframi, wziętemi ze swej monografii o banku rustykalnym. Bank ten słusznie może być uważany za głównego reprezentanta tego rodzaju lichwy, gdyż on to pokazał innym drogę do odzierania ludu, przetrwał największą część podobnych instytucyj w ciągu swego istnienia, udzielił przeszło 70,000 pożyczek na ogólną sumę prawie 15 milionów złr. i obciążył ostatecznie hipyteki blisko 600,000 gruntów morgu wartości około 27 milionów złr. Co dwudziesty chłop w Galicyi był w nim zadłużony, a prawie 30% wszystkich publicznych licytacyj były dziełem tego banku „deryszkiry.“ Pouczającą jest przez dr. Caro tablica, wykazująca stosunek pożyczek do odłużonych gruntów. Do r. 1873 ilość morgów obciążonych wynosiła przeciętnie co roku 85,000. Odtąd zaczyna się upadek, ilość odłużonej ziemi zmniejsza się odrazu więcej, niż o połowę. Bank kroczył już po pochyłości; dla ratowania pozorów obciążał coraz mniejsze grunty coraz większemi pożyczkami, przygotowując w ten sposób niechybną ruinę swym dłużnikom, ale ostatecznie i sobie samemu. Gdy w pierwszych trzech latach jego działalności wysokość obciążenia morga wynosiła przeciętnie od 14 do 16 złr., to od r. 1872 zaczyna się odrazu gorączkowy „wzrost kredytu,“ na mórg dają w 1876 r. 34,21 złr. Jeszcze wyraźniej wystąpi zdziercza, rozbójnicza tendencya banku, jeżeli zestawimy stosunek udzielonej pożyczki do wartości szacunkowej obciążonych realności. Przedewszystkiem widać tu brak jakiejkolwiek stałej normy; dawano na chybił trafił, według widzimisię agentów, w jednym roku do trzeciej części wartości szacunkowej, a w następnym więcej niż połowę. Lecz nie dość na tem. Gdy w r. 1871 mórg ziemi oceniają przeciętnie na 26 złr., w 1875 wartość wynosi więcej, niż dwa razy tyle, bo 71 złr. A wszystkie te operacye odbywać się miały nie na jakichś silnych organizmach ekonomicznych, lecz na tej uosobionej nędzy, która się nazywa chłopem galicyjskim. Rozpocząwszy od udzielania kredytu gospodarstwom stosunkowo zamożniejszym, bank zniżał się coraz bardziej do drobniejszych i maluczkich a ekonomicznie bezsilnych, które wobec coraz większego obciążania i wobec zbrodniczych praktyk agentów z góry skazane były na niechybne pożarcie przez hydrę bankową. Taka robota owego banku, którego 15-letnią działalność słusznie porównać można ze spustoszeniem, jakie w XVI lub XVII w. sprawiał wielki zagon hordy tatarskiej, przedstawia tę tylko różnicę, że on działał i pustoszył legalnie, przy pomocy dokumentów notaryalnych i sądowych.

*Prościcki.*

---

## Z WIDOWNI POTOPU.

*Lwów, 13 czerwca.*

Zaczynają już wszędzie wody opadać, odsłaniając w całej okropności zniszczenie powodzi. Klęską dotkniętych jest wogóle 24 powiaty Ga-

licyi, a między nimi wszystkie podkarpackie. Szkody dochodzą do milionów i stanowią jeden wielki krok dalej ku ogólnemu zubożeniu i wypłukaniu kraju z ostatnich zasobów. Przez sześć dni i nocy trwała słota bez przerwy, przybierając czasem rozmiary nawałnicy. Ucierpiało od niej głównie całe podgórze karpackie od Tatr aż do Czerniowiec. Fundusze państwa i kraju będą musiały pospieszyć z pomocą zrujnowanemu włościaństwu tam, gdzie zatopione i wymulone oziminy już nie dadzą się uratować i gdzie chyba jeszcze tylko zasiewem rzepy można będzie wynagrodzić trochę straty. Klęska tegoroczna jest nowem przypomnieniem regulacyi rzek, odkładanej z roku na rok przez dyetaryuszów parlamentarnych, nowem *memento*, po za którem stoi już tylko — klątwa. Bo gdy się zdawało, że katastrofa z r. 1884 przecież będzie stanowczą nauczką, to dziewięć lat zmarnowanych od owej pory przez Koło polskie w Wiedniu na rozmaitych wysługach — wystarczyć powinno do powiedzenia sobie, iż cierpliwość ma także granice...

Smutne położenie ziemian opisuje z Brzeżańskiego jeden z zapobiegliwszych gospodarzy. „Przez cały kwiecień mieliśmy mrozy, które wyrządziły w żytach znaczne szkody, a w posiewach jarych wstrzymały kiełkowanie ziarna i wzrost wszelkiej paszy; przez maj nieustanna słota przeszkadzała robotom w polu i sprawiła, że pszenice powylegały, a teraźniejsza słota spowoduje, że pszenica zupełnie przepadnie. Na polach, nawet wysoko położonych, porobiły się roztopy, a plon z ziemniaków, którymi przeważni żywi się nasza ludność wiejska, gnije już teraz. Po ogrodach wszystko przepada. Na łąkach przyrzecznych woda zalała wszystko, więc i siana nie będzie dla bydła na paszę.“ Głód niechybnie zapanuje w najbliższym już czasie. Południowa część powiatu rohatyńskiego w dolinie Dniestru stoi obecnie pod wodą. Wiele domów niżej położonych runęło lub popłynęło z wodą, plony na polach i w ogrodach zniszczone, a nawet wiele bydła potonęło. Na nieco wyższych punktach wsi stoją zbite stada zgłodniałego bydła oraz gromady ludzi z rozpaczą i przerażeniem spoglądających na straszny żywioł, który zniszczył do szczętu ich dobytek. Niewiele lepiej przedstawia się cały środek powiatu w dolinie, począwszy od Rohatyna do Bursztyna. Ogromna przestrzeń najpiękniejszych łąk przedstawia się obecnie jak wielkie jezioro. Górny brzeg Gniłej Lipy został przed dwoma laty zregulowany, wskutek czego okolice te nie zostały zalane, gdyż woda szybko odpływa głębokiem korytem ku dolnemu biegowi. Z powodu niedbałości władz zaniechano regulacyi dalszej części tej rzeki, a skutki tego muszą dziś opłacać nieszczęśliwi mieszkańcy nadbrzeżni nieobliczonemi stratami. Spoglądając z góry zamkowej, położonej około 120 metrów ponad powierzchnią Dniestru, widzimy przerażający obraz przed oczyma. Jak daleko wzrok sięga ku północy i ku wschodowi, widać tylko wodę; większą część Maryampola zupełnie woda zalała, tak że ludność jeszcze wczoraj rano opuściła mieszkania. Z Jezupola donoszą, że przepiękne płaszczyzny nad Dniestrem i Bystrzycą, zamieszkane przez lud pracowity, stoją pod wodą. Cudowne pastwiska upstrzone różnokolorowem kwieciem, bydło pławiące się w trawach, łany falujące kłosami, wsie całe, przedstawiają jedno morze. Głos rozpaczy unosi się nad topielą; wczoraj jeszcze zamożny ten lud—dziś jest nędzarzem. Setki bydła utopionego unoszą fale — wyratowane z powodzi ginie z głodu. Jak zawsze, tak i w tym wypadku „bracia mojżeszowego wyznania“ wyzyskują położenie nieszczęśliwych, zakupując za bezcen bydło, które idzie zaraz pod nóż. Z wyżyn Jezupola widzieć można gromadę bydła, już trzeci dzień stojącego po grzbiety w wodzie na jakiejś kępce, bez żadnego ratunku; grupa co chwilę maleje, słabnie z głodu i zimna, upada na siłach, a fale porywają i unoszą. Komunikacya z Pobereżem przerwana, chociaż most krajowy na Bystrzycy, zbudowany kosztem sześćdziesięciu tysięcy złr., stoi cało. Ale „Bystrzyca ta buntownica“ żartuje sobie z umiejętności inżynierów, i zebrawszy fale przed groblą, rozrywa ją. Z narażeniem życia przedostano się łódką do Pobrzeża, aby tam uratować 38 ludzi, siedzących na dachach i drzewach! Przeszło stuletni kryty most na Suczawie, przez który prowadzi rządowy gościniec, zawalił się. Wezbrana rzeka skutkiem stale trwających deszczów zrobiła ztraszne spustoszenia. Większa część ogrodów i domów pod wodą, która pozrywała wszystkie mosty, kładki i drogi. Komunikacya pocztą i koleją zupełnie przerwana. W telegramach donoszących o powodziach nie ma wzmianki o Sokołowie stryjskim. Byłoby ono niechybnie popłynęło do Odesy, Sokołów bowiem leży już tylko na przestrzeni 300 krokowej między Świcą i Sukielem, a wskutek podrywania brzegów przez te rzeki w najkrótszym czasie może się spodziewać zupełnej zagłady. Każdy w okolicy to przyznaje, ale nikt o zapobieganiu nie myśli. Wylew wód Dunajca był szalony, wszystkie pola nadbrzeżne zalane. Tam gdzie było pole orne, teraz kamienie, drogi i mosty poznoszone. Na falach wody unosiły się trumny nieboszczyków z sąsiednich cmentarzy. Zwłoki ludzkie widać po opadnięciu wody na polach i błoniach... Tysiące sztuk drzewa budowlanego i desek tworzą piętrowo stosy na urodzajnych niegdyś polach. Posiadający grunta nad brzegami, dziś są pozbawieni całego mienia, pozostał im tylko kij żebraczy! Jeden z korespondentów pisze pod datą 6 b. m.: „Wypadło mi odbyć podróż podgórską koleją z Krakowa na Chabówkę do Przemyśla. Około godziny 3 rano obudził mię ze snu jakiś szum niezwykły. Odchyliłem firanki. W okna biły gęste krople deszczu, pod torem kolejowym zaś z jednej i drugiej strony, zbałwanione brudne fale piętrzącego się Dunajca. Przejechaliśmy zwolna wielki most pod Nowym Sączem. Gdzieniegdzie z pod mętnych fal wyglądały wierzchołki drzew, czyniąc wrażenie grzybów o szerokich kapeluszach, gdzieniegdzie chata włościańska, do połowy stojąca w wodzie, z której mieszkańcy wynoszą swój marny dobytek. Nieznaczna rzeczka Ropa rozhulała się i porozlewała wezbrane, szalone wody na pola łąki i ogrody.“ Pod Jasłem straszliwe spustoszenie sprawiła Wisłoka, która rozpostarła się szeroko. Powiat doliński w czasach deszczowych należy do najnieszczęśliwszych w kraju, albowiem rzeki górskie Łomnica, Duba, Świca, Sukiel, nie wymieniając już licznych potoków, podczas dłuższej słoty wyrządzają ogromne spustoszenia. Tygodniowa słota obecna spowodowała niepamiętną powódź. Całe wsie zalane, a pola i łąki zupełnie zniszczone. Rozpacz zrujnowanych włościan nie do opisania. Około Przemyśla wyratowano czterdzieści kilka osób zatopionych. Straszny był widok tych biedaków zgłodniałych, przeziębniętych i przestraszonych. Pozostało do 200 osób w chatach zalanych. Między innemi wyratowano tu kobietę z pięciorgiem dziećmi, ale rozpacz jej z powodu utraty dobytku była tak wielką, że skorzystawszy z chwilowego obniżenia stanu wody, wróciła z narażeniem życia swego i dzieci napowrót do zalanej chaty, z której nie chciała się dać wyprowadzić, wołając, że jeżeli chata jej ginie, to niech zginie ona i jej dzieci. Prut pod Kołomyją unosił drzewa z korzeniami, budynki gospodarskie, domy, bydło i konie, a nie brak również i ofiar w ludziach. W samej Kołomyi utopiła się pewna mieszczanka, zajęta wyławianiem drzewa, które Prut w wielkiej ilości z gór unosi. Czarny potok tak się rozszalał, że całe przedmieście odciął najzupełniej od miasta, niektóre ulice zalał na metr wysoko. Tabor straży pożarnej na czółnach woził całe rodziny w Czerniowcach, których domy znalazły się pod wodą. Wylew wzrastał z niesłychaną szybkością. Komisya, złożona z urzędników policyi i lekarzy miejskich, zarządziła opróżnienie mieszkań, a działo się to wszystko wśród ciemnej nocy i gwałtownej ulewy. Na parę kroków przed sobą trudno było dojrzeć, słyszałeś tylko dokoła ogłuszający szum wody. Nie obyło się bez scen tragicznych. Na lewym brzegu Pruta pastuszek jakiś pasł dwie krowy, kiedy nagle wezbrane fale skierowały się ku niemu i w sekundzie otoczyły pagórek, na którym się znajdował. Wówczas dzielny wieśniak Jerzy Flory z 4 towarzyszami puścił się w obszernej łodzi na rzekę spienioną i wyratował nietylko pastuszka, ale i obie krowy. Najwyższy stan wody doszedł w nocy na środę do 5.30 metr. Po lewej stronie Pruta zalała załkowicie kilka wsi. Most na drodze dubowieckiej runął w chwili, kiedy przezeń przejeżdżała fura, na której siedzieli miejscowy wójt i wachmistrz. Straty w ludziach, bydła i wogóle w gospodarstwie nieobliczone; istny potop we wspaniałej ilustracyi do statystyki (d-ra Rutowskiego) o klęskach elementarnych w Galicyi.

*H. B.*

## HYGIENA FABRYCZNA.

Fakt stał się niezwykły. W tych dniach okrąg III zagłębia dąbrowskiego, jak donosi sprawozdawca *Kurycra warsz.*, „obchodził uroczystość prawdziwą.“ W osadzie Niemce (własność warszawskiego Towarzystwa kopalń i zakładów hutniczych) otwarto dla górników świeżo ukończony szpital na 30 łóżek, wybudowany z uwzględnieniem najnowszych wymagań nauki i hygieny. Oto jest urządzenie tego zakładu: Wentylacya wyborna, w lecie za pomocą luftów zewnętrznych, w zimie — za pośrednictwem pieców, których rury o wylotach zewnętrznych, w górze umieszczonych dają ciągły przypływ świeżego powietrza, jednocześnie zaś kanały dolne wyciągają za pomocą rur żelaznych powietrze zużyte do palenisk w suterenach. Szpital ma dwa oddziały: męzki i żeński. Sale przestronne, tak iż chorzy nie będą zbyt ciasno umieszczeni. Sale: operacyjna, jadalnia dla rekonwalescentów, ambulatoryum lekarskie, apteczka, łazienki męzkie i żeńskie dopełniają szczegóły najważniejszych urządzeń. Koszt budowy szpitala wyniósł 35,000 rs.

Dla współudziału w tej „uroczystości prawdziwej“ redakcya *Kuryera warsz.* wysłała delegata, co jeszcze wybitniej zaznacza niezwykłość faktu. Wielceznamienny to rys, iż założenie szpitala fabrycznego uważane jest za czyn filantropijny, obwieszczony w specyalnych sprawozdaniach, czasem nawet z życiorysami fundatorów. Rozsądny fabrykant po takich dowodach uznania może się dziwić, skąd tyle hołdów i pyta w duchu: dlaczego maszynista, utrzymujący w porządku i czystości wszystkie części swej maszyny, nie cieszy się takiem samem uznaniem? Za granicą społeczeństwo przyzwyczaiło się uważać szpitale przy fabrykach i wszystkie środki hygieny za nieodłączne szczegóły urządzeń i udoskonaleń przemysłowych. Powszechnie bowiem wiadomo, że robotnik prędko i dobrze wyleczony odda znowu swe siły na usługi produkcyi. Im szybcej przyjdzie do zdrowia, tem większy zysk dla fabryki. Gdyby niedbały pracownik nie nasmarował oliwą kółek swego motoru, gdyby pozwolił im zardzewieć, maszyna stanęłaby

z wielką stratą dla wytwórczości. Takiej straty nie chcą rozumiejący dobrze swój interes fabrykanci na Zachodzie i dla tego wznoszenie szpitali nie jest tam uważane za czyny filantropijne. Im bardziej takie zakłady odpowiadają najnowszym wymaganiom hygieny, tem więcej się zyskuje siły produkcyjnej.

Niezwykle uroczyste zaznaczenie faktu otwarcia wzorowo urządzonego szpitala w Dąbrowie, dowodzi wyjątkowości takich czynów u nas. Nie jest to przypuszczenie; dane statystyczne mówią, że u nas hygiena fabryczna stoi jeszcze na bardzo nizkim poziomie. Oto, co pisze inspektor fabryczny, p. Światłowskij o organizacyi lekarskiej w 36 cukrowniach Królestwa Polskiego: „W żadnej z tych fabryk, z których każda oddzielnie przedstawia wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe, niema ani stałego lekarza, ani szpitala. Produkcya najmniejszej daje 200,000 rs. rocznie; większość atoli wytwarza na pół miliona i wyżej rocznie. Dwanaście cukrowni wzywa lekarza tylko w miarę potrzeby. Taki przedstawiciel służby zdrowia nietylko raz na tydzień, ale nawet na miesiąc nie odwiedza fabryki. W 23 cukrowniach lekarze są obowiązani odwiedzać chorych 1—2 razy tygodniowo lub raz na miesiąc i tylko jedna fabryka ma własny szpital i stałego przy nim lekarza. Tak zwanych „pokojów przyjęcia“ prawie nigdzie niema; tam zaś, gdzie są — istnieją tylko z nazwy, np. jedna fabryka wykazała, że utrzymanie takiego pokoju wynosi zaledwie 10 rs. rocznie. Nawet felczerzy nie zawsze mieszkają przy zakładach fabrycznych (na 36 cukrowni stałych felczerów jest tylko 23)“ *). Wogóle pomoc lekarska pochłania około 40,000 rs. rocznie (10,000 kosztują lekarze, tyleż felczerzy i akuszerki, tyleż szpitale i medykamenty). Tym sposobem troska o zdrowie 14,658 robotników kosztuje każdą fabrykę po 2,7 rs. na osobę rocznie. Ponieważ wszystkie cukrownie w Królestwie Polskiem przetwarzają rocznie prawie 3½ mil. berkowców buraków, a więc czuwanie nad zdrowiem pracowników obarcza każdy berkowiec na 1 kop. — Ciężar niewielki! Natomiast prawie wszystkie cukrownie w gub. charkowskiej i czernihowskiej wydają przeciętnie na zdrowie każdego robotnika 4 rs. a nawet 7, 8 i 10 rs. rocznie. Całkiem inaczej niż w Królestwie rzecz się ma na południu Rosyi. Każda cukrownia ze średnią liczbą robotników (350—400) posiada własny szpital na 12 łóżek, co wynosi około 3% w stosunku do liczby robotników (prawo wymaga tylko 1%). Przy szpitalach są ambulatorya, a w większości fabryk — apteki **).

W innych działach wielkiej produkcyi fabrycznej nie jest lepiej. Na taki wszakże stan rzeczy zwróciły w ostatnich czasach uwagę sfery prawodawcze i stale dążą ku rozszerzeniu i udoskonaleniu środków hygieny fabrycznej. Uważny czytelnik mógł to spostrzedz z luźnych rozporządzeń, ogłaszanych coraz częściej. Do tego rodzaju dążeń prawodawstwa należy także roztrząsana niedawno w radzie państwa kwestya odpowiedzialności właścicieli fabryk za śmierć lub kalectwo robotników podczas pracy. Obecnie w łonie petersburskiego Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu poruszono sprawę organizacyi różnych środków bezpieczeństwa i zdrowotności w fabrykach. Jak widzimy, działają tu już sami przemysłowcy, zapewne dla uniknięcia kary za niedbalstwo względem zdrowia i życia swych pracowników. Uzdrowotnienie warunków pracy robotników fabrycznych stało się dziś szczegółem ogólnej organizacyi sanitarnej i w tym właśnie kierunku ujawnia się dążność sfer prawodawczych. Kiedy w Anglii r. 1858 panowała straszna epidemia tyfusu, przez długi czas, pomimo usiłowań, nie zdołano odkryć źródła klęski, aż wreszcie ujawnił je dr. Smit, delegowany dla zbadania mieszkań robotniczych. Znalazł w nich całą ohydę nędzy i nieczystości, w których się rozradzały i szerzyły wszelkie choroby. Odtąd zapanowało powszechne przekonanie, że ogólna zdrowotność kraju w ścisłym jest związku z warunkami pracy i mieszkań robotników fabrycznych. To przekonanie w ostatnich czasach utrwaliło się również u nas, a badanie mieszkań, rewizya sanitarna zakładów fabrycznych, coraz silniejszy nacisk przepisów prawnych w tej mierze, dowodzi, iż dotąd nagromadzone fakty przez inspekcye fabryczne i sfery lekarskie wywołały pożądany ruch w czynie. Sam atoli nacisk prawny nie może być wystarczającym. Potrzebne tu jest współdziałanie pracodawców, którzy, jeżeli się nie mogą zdobyć na szerokie uczucia miłości bliźniego, powinni zrozumieć własny interes, obliczyć z ołówkiem w ręku korzyści z uzdrowotnienia warstw robotniczych. W Niemczech przy ministeryum przemysłu i handlu istnieje osobne biuro dla szerzenia śród fabrykantów dążeń humanitarnych (*Centralstelle für Arbeiter Wohlfahrst Eingrichtungen*). Zadaniem tej instytucyi jest: badanie bytu robotników tudzież stosowanych w praktyce środków naprawy warunków istnienia, nadto: udzielanie fabrykantom pożytecznych wskazówek, dotyczących ulepszeń w tej mierze. Prócz tego biuro zbiera dane statystyczne o działalności przemysłowców w tym zakresie i posiada muzeum, w którem właściciele fabryk mogą się przyjrzeć wszelkim środkom i urządzeniom, służącym dla zabezpieczenie życia i zdrowia robotników. Naturalnie taka organizacya nie może wywołać przewrotu cudownego, ale bądź co bądź przyczyni się chociaż w części do utrwalenia urządzeń zdrowotnych w dziedzinie pracy fabrycznej; gdyby zatem podobna instytucya powstała u nas, powitanoby ją przychylnie i poparto szczerze. Gdzie chodzi o wzmocnienie zdrowia i zabezpieczenie życia, tam wszelka pomoc, chociażby z naiwną wiarą niesiona, jest bardzo pożądana.

*Zen. Piet.*

*) W. Światłowskij, „Byt robotników w cukrowniach Królestwa Polskiego“ (*Goniec hyg. publ.* 1888 r.).

**) K. P. Sulima. „Przemysł cukrowniczy pod względem zdrowotnym.“ Petersburg 1892.

# LIBERUM VETO.

Rachunek z *corsa*. — Przyczyny skromnych rezultatów. — Obce wzory i swoje siły. — Letnie mieszkania i ich przemiany w kierunku miast — Nudy na łonie natury. — Gdyby nie dzieci. — Dlaczego panie i panowie się nudzą. — Wypoczynek niespracowanych — Rada dla spracowanych. — Feniks odradzający się z popiołów. — Odmłodzenie *Gazety polskiej.*

Dochodu z *corsa* było około 11,000 rs., wydatków około 3,000, biedni tedy dostali około 8,000. W wydatkach naturalnie nie mieszczą się koszty przybrania powozów (i kamieni w bukietach, które na siebie rzucano!), ale te zdaje się nie były wielkie. Zagranica, jeżeli nawet dostarczyła kwiatów, to bardzo mało. Głównie posilkowano się materyałem miejscowym. Już z tego samego względu zabawa musiała wypaść bardzo skromnie. Naprzód bowiem kraj nasz w pierwszej połowie czerwca prawie nie posiada wcale kwiatów gruntowych tanich, tylko przeważnie szklarniowe, drogie; powtóre ogrodnicy nie byli przygotowani na większe zapotrzebowanie. Z jednej więc strony brakło kwiatów, z drugiej — ich cena przechodziła możność ludzi niebogatych. W takich warunkach zabawa udać się nie mogła i dała w rezultacie naukę, że nawet dobre pomysły obce trzeba naśladować z rozumem. Na południu, gdzie o tej porze wegetacya jest już daleko posunięta, kwiaty nie należą do przedmiotów rzadkich i zbytkownych. Tam ludzie mogą sobie nimi ubierać powozy i urządzać „bitwy.“ Co innego u nas. Jeżeli jest wątpliwem, czy wszystkie zakłady ogrodnicze warszawskie zdołałyby dostarczyć 10,000 róż dziennie; jeżeli za każdą trzeba zapłacić od 50 do 100 kop., czy może być mowa o tem, ażeby 1,000 powozów przystrojono kwiatami i urządzono z nich „deszcz“? To też ci, którzy przystroili koła... sałatą, dali prawdziwy i charakterystyczny obraz naszej rzeczywistości. Na przyszłość trzeba wybrać jedno z dwojga: albo zaniechać naśladowania Riviery, albo przynajmniej przenieść ów turniej na porę właściwszą.

Wyścigi skończone, totalizator zamknięty, lokaje, woźni i froterzy zdjęli swoje „gumy“ sportsmańskie, wełna sprzedana, słowem jeden „sezon“ zamknięty, a drugi otwarty. Jaki? Nazywają go martwym i ogórkowym, właściwie zaś jest to nr. 3 karnawału. W tym okresie warszawiacy również się bawią, tylko już nie w zamkniętych salach i miejscach spacerowych, ale — bogatsi u wód, a średniozamożni na mieszkaniach letnich. Dziwne to są mrowiska te mieszkania letnie. Zdawałoby się, że ludzie powinniby szukać w nich tego, czego im nie daje miasto, tymczasem warszawiacy starają się koniecznie uczynić je miastami. Zauważcie tylko: ile razy tylko gdzieś w okolicach Warszawy powstanie tego rodzaju kolonia, „letnicy“ skarżą się naprzód na brak mięsa, bułek, komunikacyi pocztowej, stroicieli fortepianów itd., potem „panie się nudzą,“ potem ubolewają, że rozkład jazdy kolejowej nie pozwala im przyjeżdżać do teatru i wracać po przedstawieniu, potem zaczynają zbierać składki na kapliczkę, potem myślą o urządzeniu „scenki,“ potem ściągają koncertantów — i tak powoli w ciągu lat paru osada wiejska zamienia się na miejską z brudem, kurzem, gwarem, strojami, plotkami i wszystkiem, co do takich siedzib należy. I to się nazywa „wypoczynkiem na łonie natury.“ Łatwo dostrzedz, że ten wypoczynek nie wynika z wewnętrznej potrzeby, lecz z pewnego przymusu. Działa tu naprzód moda. Zostać przez lato w Warszawie, to jak gdyby włożyć obcisłą suknię, kiedy panuje krynolina. Dalej o świeże powietrze dopominają się dzieci. Trudno im go odmówić, trudno nie „poświęcić się“ dla syna lub córki, którzy przez dziewięć miesięcy ciężko mozolą się w szkołach, nieraz dobywając ostatka sił, skostniali w ciągłem siedzeniu, wynędzniali w zaduchu, łaknący swobody i tych wszystkich przyjemności, których im wielkie miasto dać nie może. To też niejedna tkliwa matka, „poświęcająca się“ w Mrozach lub Płudach, powiada: „Ach, żeby nie bębny, czyż ja bym tu mordowała się i schła z nudów.“ Gdyby na letnie mieszkania wyjeżdżali spracowani mężczyźni, dogadzaliby istotnej potrzebie wzmocnienia sił i szukaliby na ten cel zacisznych kątów; ponieważ zaś zwykle wyjeżdżają niespracowane kobiety, więc wybierają gwarne rynki, zbiorowiska ludzkie — małe miasteczka. Chyba nie ma na świecie narodu, któryby tak dalece nie mógł żyć bez obawy, jak my. Nawet suchotnicy, sparaliżowani, dotknięci wszelką niemocą najbardziej wzdychają podczas karnawałów. Jestem pewien, że niejeden tabetyk odzyskałby władzę w nogach, gdyby go zamiast do szpitala wniesiono do sali balowej; niejeden umarły, zmartwychwstałby, gdyby mu do ucha krzyknięto: jutro raut! Rzeczywiście więc, „letnica,“ uwięziona w odludnej wiosce, cierpi straszne męczarnie. Każą jej zachwycać się naturą? Ach, natura jest to piękna, ale szczelnie zasłonięta turczynka, pokazująca swe wdzięki tylko temu, który ją zaślubił, dla wszystkich zaś obcych przedsta-

wia szpetny zwój tkanin. Postawcie się w położeniu mieszczucha i mieszczanki: słońce ich pali i oślepia, chmury oblewają deszczem, ziemia osypuje nogi piaskiem, bydlę bodzie, koń wierzga, kogut spać nie daje, owady kąsają — i to ma być piękne, rozkoszne! Badacz, podłożywszy pod mikroskop skrawek rakowatej tkanki, widzi śliczną koronkę, a jego lokaj, patrzący gołem okiem, widzi obrzydliwą cząstkę rany. Podobnie rzecz się ma z przyrodą, wobec której jedni zachowują się jak badacze, inni jak ich lokaje. Nie sądźcie, ażeby dla odczucia wdzięków boru, gwiaździstej nocy, łanu zboża lub szumiącego strumienia potrzeba było tylko otworzyć oczy — i tu niezbędna jest odpowiednia zdolność— wrażliwość. Ponieważ my ciągle siedzimy pod kądzielą i przędziemy dla innych ludzi nieskończoną nić obowiązków, więc każemy im również zachwycać się widokiem natury, co też oni biedni czasem robią tak, jak ów kantorowicz na szczycie Alp, wykrzykujący: „Ach, co za wspaniały zachód słońca... jakże mi błogo w duszy... o tej godzinie u nas we Frankfurcie kantory zamykają.“ Podobnie mówi rzetelna warszawianka na wsi: „Ach, jak ładnie słońce zachodzi... iluż teraz ludzi spaceruje w alejach Ujazdowskich.“ Z jaką rozkoszą łyknęłaby ona teraz trochę owego kurzu ujazdowskiego, posiedziałaby na „patelni“ tuż przy brzegu, ażeby przypatrzeć się toaletom i powozom! Wtedy zapomniałaby, że istnieje słońce, że zachodzi i że bywa kiedykolwiek piękne. Piękne!.. Co może być szczególnego w widoku, który każdy chłop ma i ogląda codziennie, ile mu się podoba? Łabędzie na sadzawce Saskiego ogrodu — to co innego! Letnie mieszkania są przeklętym konceptem najnieznośniejszego rodzaju ludzi — hygienistów, tych ludzi, którzy swoim zrzędnym rozumem zatruwają nam wszystkie przyjemności życia: wynajmiesz sobie mieszkanie z obszernym salonem a maleńką sypialnią dla dziesięciu osób, oni każą ci salon zamienić na sypialnię, a sypialnię na salon; chcesz mieć zgrabną figurę, oni każą ci zdjąć ciasny gorset; lubisz wino, oni każą ci pić mleko; pragniesz wytańczyć się na balu, oni każą ci zostać w domu; przepadasz za alejami Ujazdowskiemi, oni każą ci mieszkać w Chudej Wólce. Cała ich hygiena jest po prostu systematycznem robieniem na złość. Jeden z tych okrutników, oburzony na miejskie zwyczaje w osadach letnich, pisze do nas z całą naiwnością: „Gdyby znalazł się jakiś środek zwrócenia do innego ujścia potoku rozmaitych dam, modniś, elegantek, amatorek ogrodu Saskiego, wintowiczów, bawicieli płci pięknej itd., byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo dla ludzi łaknących odpoczynku. Pewna moja pacyentka, skarżąca się na brak snu, tak mi wytłomaczyła jego przyczynę: Ja tu spać w żaden sposób nie mogę: w nocy naokoło cisza, grobowa, denerwująca cisza. W Warszawie ciągły gwar i szmer uliczny działa usypiająco. Pan się śmiejesz, a ja panu powiadam, że gdybym tu nieraz usłyszała turkot dorożki, powitałabym go jak ulgę, jak wybawienie. Trrr... znowu trrr... znowu trrr... — i tak bez końca — to uspakaja, wlewa błogość. A tu co najwyżej drzewo zaszumi, które mnie przejmuje obawą burzy, lub pies zaszczeka, który przypomina mi skradającego się złodzieja. To według was ma dawać zdrowie? Ach, gdyby nie dzieci, które potrzebują świeżego powietrza... Ale potrzebują go także płuca pani... Moim płucom więcej by pomogło jedno *corso*, niż wszystkie wasze letnie mieszkania.“ Kto wie, czy w tem rozumowaniu nie tkwi dużo racyi. Jeżeli jest prawdą niezbitą, że nie ma chorób, tylko są chorzy, jeżeli te same cierpienia w jednych leczy ciepło, w drugich zimno, to może byłoby bardzo pożyteczne dla prawdziwych mieszczuchów zakładać nie mieszkania na wsi, ale jakieś letnie siedziby w środku miast wielkich z otwartymi rynsztokami, czadem asfaltowym, nieustannym turkotem dorożek, tumanami kurzu itd. Niezależnie wszakże od takich gustów i wymagań, wy wszyscy, którym los na to pozwala, którym ciężka praca wyczerpała siły a warunki życia miejskiego podkopały zdrowie, uciekajcie na wieś, na pola i łąki, do lasów i ogrodów, wykąpcie się w czystych rzekach i w morzu wonnego powietrza, pokrzepcie ciało i otrząśnijcie duszę z pyłu.

Niedźwiedź wielkomiejski zaczyna już układać się do snu letniego, podczas którego będzie półmartwym i leniwym. Puls jego życia już nawet widocznie osłabł. W całej Warszawie jedna tylko *Gazeta polska* właśnie na tę porę rozbudziła się z kilkunastoletniej drzemki i rozwija niezwykłą w jej ciele energię. Nie będę tu wyjaśniał, co jej ogrzało krew goręcej, zapisuję tylko sam fakt, który ludziom dbałym o żywotność naszej prasy sprawi niewątpliwą przyjemność. Już od miesiąca przeszło *Gazeta polska* nie poprzestaje na suchych referatach politycznych i jeszcze suchszych doniesieniach miejscowych, ale zamieszcza artykuły z dziedziny literatury, sztuki i spraw społecznych, pisane żwawo i barwnie.

*Poseł Prawdy.*

## PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

### SPRAWY ROLNE — W WARSZAWIE.

Jarmark wełniany. — Środki podniesienia produkcyi wełny. — Sprawy gorzelnicze.

Czerwiec jest miesiącem, w którym raz do roku skupiają się rolnicy dla załatwienia interesów handlowych z wełną, a przy tej sposobności ożywiają się posiedzenia w warszawskim oddziale Towarzystwa pop. rusk. przem. i handlu. Szkoda tylko, że ani zarząd, ani referenci, ani wreszcie liczni właściciele ziemscy nie skorzystają ze zjazdu dla rozstrzygnięcia spraw najpilniejszych, dla wysłuchania sprawozdań o ostatnich wynikach postępu w dziedzinie wiedzy rolniczej. Niema ani takich wykładających, którzyby się tem zajęli, ani — słuchaczów. Bądź co bądź, na ostatnich posiedzeniach miesięcznych, przypadających w czasie jarmarku, przedstawiono do rozstrzygnięcia więcej, niż zwykle spraw ważnych i żywotnych. Przedewszystkiem na porządek dzienny wysunięto kwestyę — wełnianą. P. Sypniewski w swojej pracy o sposobach przekształcenia i udoskonalenia produkcyi wełny u nas, wyraźnie oświetlił istotny stan rzeczy i wypowiedział kilka uwag, które powinny wyjść po za granice sali posiedzeń. Owczarstwo u nas stoi dziś na bardzo pochyłej i śliskiej drodze. Według ogólnego mniemania, współzawodnictwo produkcyi zaoceanowej, szczególnie australijskiej, utrudnia zbyt miejscowego towaru za granicą. Dowóz wełny zamorskiej, wynoszący w 1868 r. 160 milionów kilo, w ostatnich latach wzrósł do 514 mil., a przecież to nie ostatnia granica wzrostu. Ale wełna nie jest wszechwładnym towarem na rynkach w danym zakresie. Współzawodniczy z nią silnie — bawełna. Skutkiem tego wytworzyło się zwykłe zjawisko ekonomiczne: nadzwyczajna zniżka cen na wyroby wełniane, których wartość w obecnej chwili prawie się zrównała z wartością przedmiotów bawełnianych. Naturalnie że wobec tego ostatnie, jako lepsze, mają nierównie większe powodzenie, niż pierwsze. O nadprodukcyi dziś nie ma jeszcze mowy, gdyż obecna ilość towaru surowego na rynkach wszechświatowych nie odpowiada jeszcze ciągle wzrastającemu zapotrzebowaniu. Tem bardziej nasi wytwórcy nie powinni się bać nadmiaru. Oto kilka cyfr wymownych: W r. 1889 fabryki miejscowe (328) spożyły 978,000 pudów wełny, ogólna zaś produkcya w tym czasie wynosiła zaledwje 319,000 pudów. Brakującą ilość pokryto w części towarem z gubernij południowo-zachodnich, a nawet ze środkowych. Dość skromna cyfra wytwórczości aż nadto wyraźnie dowodzi, że owczarstwo u nas nie znajduje się w świetnym stanie. Nasi hodowcy pielęgnują przeważnie trzy gatunki owiec: elektorały, negretti i rambouillety. Pierwsze dają wełnę cienką, służącą tylko do przednich tkanin, drugie — sukienniczą, trzecie — wełnę kamgarnową. Niedawno jeszcze panowało ogólne przekonanie, że można poprawić rasę drobnych owiec elektoralnych i negretti przez skrzyżowanie jednorazowe z dużymi i tłustymi rambouilletami. Tak doradzali ówczesni sortyerzy i wskazówek ich usłuchała większość właścicieli owczarni i popsuła sobie owce.

Wnioski, wynikłe z odczytu p. Sypniewskiego, zamknięto w następujących punktach, które powinny utkwić w pamięci hodowców: 1) Gatunek owiec i wełny zależy w znacznej części od natury gruntu tudzież jego kultury i warunków miejscowych. 2) Wełna sukiennicza, czyli czesankowa, powinna być szlachetna, nie koniecznie zaś cienka; może być średnio cienka lub nawet średnia. 3) Owczarnie sukiennicze (elektoralne i negretti), przez które przeprowadzono owce, produkujące wełnę czesankową (rambouillety), tylko po bardzo długim czasie mogą dać sukienniczą szlachetną. Doświadczenie wskazuje, że gromadę taką należy raczej prowadzić dalej w kierunku produkcyi czesankowej. 4) Wytwarzanie wełny wysoko cienkiej pożądane jest tylko w niewielkich rozmiarach i powinno być prowadzone tam jedynie, gdzie już oddawna zdołano dojść do doskonałości. 5) Produkcya wełny czesankowej szlachetnej może być również korzystna, jak sukienniczej, ale przy prowadzeniu racyonalnem, umiejętnem, w stosownych warunkach.

Tegoroczny jarmark wełniany odbył się w warunkach o wiele pomyślniejszych, niż w roku zeszłym. Przedewszystkiem dowozowi sprzyjała dobra pogoda i ustępstwo zarządów kolejowych, które w dostawie dały pierwszeństwo wełnie. Wytwórcy, nauczeni doświadczeniem, trzymali się „twardo,“ oswojeni są już bowiem ze zwykłym fortelem nabywców: obojętnem oglądaniem towaru przez długi czas bez proponowania cen. Ogólnie dostarczono i sprzedano produktu o wiele więcej, niż w roku zeszłym po cenach lepszych. Nabywcami byli przeważnie przemysłowcy krajowi. Przybyli z zagranicy poszukiwali głównie najwyższych gatunków. Wytwórcy będą zadowoleni, a pomyślne obroty powinny ich zachęcić do ulepszenia hodowli. Ktoś zwrócił uwagę, że na posiedzeniu w sekcyi rolnej, pomimo iż poruszono sprawę będącą na dobie — produkcyi wełny, nikt nie zabrał głosu dla wyświetlenia warunków jarmarku wełnianego, nie rozprawiano nad tem, w jaki sposób należy uregulować owe jarmarki z korzyścią zarówno dla producentów, jak i spożywców. A przecież liczny zjazd szlachty, śród której byli wytrawni znawcy w zakresie owczarstwa, rozumiejący dobrze, iż życie ekonomiczne danej przestrzeni kraju musi być w zależności od splotu stosunków wszechświatowych — dawał wyborną sposobność do naradzenia się nad temi sprawami.

Na posiedzeniu III sekcyi warsz. oddz. Tow. pop. r. p. i h. rozprawiano nad kwestyą również bardzo ważną dla rolników: produkcyą okowity. Zarząd Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu, rozszerzając ciągle zakres swej działalności, dąży ku temu, ażeby się stać jedynym pośrednikiem pomiędzy wytwórcą a spożywcą. W tym celu proponuje, iżby właściciele gorzelni spieszyli już obecnie ze składaniem odpowiednich deklaracyj na dostarczenie określonej wyraźnie ilości okowity z oznaczeniem ścisłego terminu. W ten tylko sposób Towarzystwo może robić większe obroty, korzystne zarówno dla niego, jak i dla wytwórców. W porę zwrócono uwagę, iż obecnie dla producentów Królestwa Polskiego jedynym rynkiem zbytu jest Petersburg. Do rynku bowiem moskiewskiego utrudniają dostęp wysokie taryfy, po zamknięciu zaś granicy hiszpańskiej Hamburg nie przedstawia wcale korzystnych widoków. Właściciele gorzelni powinni całą rzecz traktować po kupiecku,

tj. poddać się możliwym stratom i zyskom, które wyniknąć mogą z zawartych układów, tj. z przyjęcia z góry cen bez względu na możliwe podniesienie się ich w przyszłości. Zdaje się wszakże, iż gorzelnicy bez namysłu powinni przyjąć warunki; ten bowiem, kto zwykł za bezcen sprzedawać zboże „na pniu,“ o wiele świetniejszy zrobi interes, sprzedając hurtownie swą okowitę i decydując się na ceny bieżące. Rozporządzanie naraz znaczną kwotą wyrównywa wszelkie straty na wahaniu cen, bo daje możność robienia obrotów korzystnych. Zapewne tego przekonania jest większość gorzelników, skoro pospieszyli oni ze złożeniem deklaracyj już przeszło na 40,000 wiader okowity.

Wytwórcy okowity coraz szerzej zaczynają rozumieć swoje korzyści z racyonalnej produkcyi, która jest możliwa tylko przy powierzeniu jej ludziom fachowym. Dotąd, jak wiadomo, t. zw. „gorzelani“ całą swą wiedzę czerpią z praktyki, najczęściej pod kierunkiem ciemnych rutynistów. Rzadko się znajdzie pracownik samodzielniejszy, który nie poprzestaje na wskazówkach swego kierownika, stara się wiedzę specyalną dopełnić ze stosownych podręczników. Ale i o to u nas trudno. Literatura w tym zakresie niezmiernie jest uboga; trzeba sięgać do obcej, a o to wobec braku znajomości języków praktykantowi bardzo jest trudno. Fachowych gorzelanych, którzy ukończyli szkoły zagraniczne, można u nas na palcach policzyć. Pod ich kierunkiem w gorzelniach urządzonych według najświeższych wymagań techniki, mogą się kształcić praktycznie z pewnym pożytkiem młodzi ludzie, ale i to nie wystarcza. Ocenili to dobrze właściciele gorzelni i od lat kilku „noszą się z myślą“ założenia szkoły specyalnej. To jajko, zbyt długo noszone, pokazano nareszcie na ostatniem posiedzeniu gorzelników. Należy tylko wysiedzieć pisklę, które z czasem wyrośnie na kwokę, znoszącą złote jaja dochodu z produkcyi gorzelniczej za pomocą zastosowania wiedzy fachowej. Obliczono, że koszt urządzenia szkoły nie będzie znaczny; przy udziale większości wytwórców na największe gorzelnie wypadnie tylko po 40 rs.

*Drog.*

**Kredyt bankowy.** Kantor warszawski Banku państwa potrzebującym kredytu postanowił w dalszym ciągu udzielać pożyczek na kupno maszyn i narzędzi rolniczych. Pożyczki wydawane będą na 6% ze spłatą amortyzacyjną w okresie trzyletnim. Jednocześnie zarząd kantoru uchwalił wydawać zaliczenia na wełnę, zastawioną w magazynach bankowych, w stosunku $^2/_3$ wartości, oznaczonej przez komitet dyskontowy, przyczem pobierany będzie procent w stosunku 5% rocznie.

— Zasady nowego projektu opodatkowania osób, zamieszkujących w hotelach i pokojach umeblowanych, są następujące: Podatkowi podlegają poddani ruscy i cudzoziemcy. Wolne są osoby, zajmujące pokój lub mniej, i mieszkający krócej niż miesiąc, jeżeli przedstawią kwit z opłaconego podatku własnego mieszkania. Przyjezdni wnoszą podatek właścicielom hotelów. Ci ostatni wydają kwity i w początkach każdego miesiąca do d. 5 (17) przelewają do kasy skarbowej odpowiednią sumę za ubiegły miesiąc. Należności niewniesione ściągane będą w drodze administracyjnej z doliczeniem po 1% miesięcznie. Właściciele hotelów obowiązani są prowadzić księgi do zapisywania nazwiska przyjezdnych, czasu zajmowania lokalu, dnia wyjazdu oraz notatek o dokumentach, uwalniających od podatku. W razie uchybienia przepisom, właścicielowi hotelu grozi kara pieniężna do 300 rubli. Projekt powyższy przyjęty został przez komisyę w najgłówniejszych punktach.

— Minister dóbr państwa uzyskał nowe kredyty na potrzeby rolnictwa. Pomiędzy innemi będzie asygnowane za każdym razem 1200 rs. ilekroć seminarya nauczycielskie zechcą zaprowadzić u siebie kursy rolnictwa.

— Dotychczas przedsiębiorstwa przemysłowe, pierwsze w pewnym rodzaju produkcyi, były wolne od opłaty stempla i podatków. Ulgę powyższą ministeryum skarbu postanowiło skasować.

— Rolnicy z gub. południowo-zachodnich postanowili założyć w Paryżu agenturę dla bezpośredniego sprzedawania swych produktów, szczególnie syndykatowi młynarzy francuskich (*Peterb. wied.*).

— *Prawit. Wiest.* ogłosił rozporządzenie, na mocy którego Bank państwa w porozumieniu z departamentem podatków celnych, może otwierać kasy oszczędności przy komorach celnych.

— Zarząd Towarzystwa ogrodniczego w Warszawie zwrócił się do magistratu o wyznaczenie na rynku Żelaznej Bramy osobnego miejsca do sprzedaży owoców i kwiatów. Magistrat na ten cel przeznaczył 142 miejsca.

— Z Wiednia donoszą, iż „Laenderbank“ objął konwersyę 80-ciu milionów listów zastawnych galicyjskiego Towarzystwa kredytowego.

## KRONIKA.

**I tak bywa**. Gdy przed dwoma laty doszła do nas wiadomość że *Gazeta warszawska*, najstarsze pismo polskie, chyli się do upadku, pomimo różnicy stanowisk, pomimo że nas z nią nie łączyły żadne osobiste stosunki, postanowiliśmy usłużyć jej możliwą pomocą. W tym celu na kilku zebraniach przyjaciół i znajomych, zaprosiwszy jednego ze współpracowników *Gazety*, p. S. K., przedstawiliśmy obowiązek ratowania pisma w sposób dla jego redakcyi najdelikatniejszy, bądź pod postacią bezinteresownie ofiarowanych mu artykułów, bądź pod postacią rozszerzonej prenumeraty. Obecni przyjęli tę myśl życzliwie i natychmiast zaczęli ją spełniać. P. S. Lesznowski, dowiedziawszy się o tem, przybiegł do nas z wyrazami najwyższej wdzięczności, a również wyraził ją wszystkim, którzy przyrzekli zasilać *Gazetę* artykułami bezpłatnie, nie wyłączając rozumie się i „żydów.“ Grono tych „żydów“ zaprenumerowało *Gazetę*, inni „żydzi“ przesłali jej swoje prace, a gdy redaktor *Prawdy* pod pseudonymem starego szlachcica napisał artykuł, wykazujący ziemianom (nie „żydom“) potrzebę i korzyść z połączenia się dla obrony swych interesów, gdy artykuł ten wywołał rozprawy w całej prasie, p. Lesznowski nie miał dla nas dość słów pochlebnych. Posiadamy jego listy pełne najwyższych uniesień. Aż do tej chwili *Gazeta warsz.* odpierała brudne fale antisemityzmu, była przedmiotem ciągłych jego napaści i nosiła nazwę „żydowskiej.“ Wkrótce jednak uznała, że ten tor nie dowiezie jej szybko do mety i postanowiła się zwekslować. Pomijamy tymczasem krótką epokę jej wahania się i szukania gruntu w filosemityzmie; dość że ostatecznie spróbowawszy różnych kart, postawiła na najszczęśliwszą w grze warszawsko-dziennikarskiej — brutalnie antisemicką. Gra ta, prowadzona według najniezawodniejszej metody, każe: kłamać, spotwarzać, lżyć, wskazywać żydów nawet tam, gdzie ich nie ma, przezywać żydami tych, którzy nimi nie są, pod najuczciwszą i najbezstronniejszą działalność podsuwać „interesy żydowskie“ itd. Dzięki tej taktyce na tarczy strzałów paszkwilu znalazła się *Prawda*. My, którzy tak niedawno jeszcze byliśmy „najzacniejszymi“ przyjaciołmi *Gazety warszawskiej*, którzy dostarczaliśmy jej współpracowników i zjednywali abonentów, nagle „bronimy interesów żywiołu żydowskiego ze szkodą tuziemców“ i „popieramy żydowskich lichwiarzów w Warszawie,“ bo — słuchajcie! — uważamy za śmieszne zalecanie oszczędności ludziom, którzy nie mają co oszczędzać. Ażebyśmy zaś nie wątpili, od kogo ta potwarz pochodzi, podpisano ją *Red.*(akcya). Nie dość tego. W jednym z następnych numerów *Gazeta warsz.* przepisawszy znaczną część naszego artykułu, w którym radzimy większym i drobnym posiadaczom ziemi rozszerzenie kultury ogrodowniczej, wskazujemy im niewyzyskane źródło korzyści i konieczność wyjścia z dotychczasowej gospodarki żydowsko-sadowniczej, powiada: „żydzi i pisma im oddane w rodzaju *Prawdy* wszelkich dołożą usiłowań, ażeby w zarodku stłumić współzawodnictwo chrześcian.“

Tak się płaci za bezinteresowne i obywatelskie usługi.

Mielibyśmy chyba prawo dla napiętnowania tej niegodziwości użyć bardzo silnych wyrazów; poprzestajemy wszakże tylko na zestawieniu faktów i uwadze, że w prasie naszej jest to chyba jedyny wypadek tak szybkiego i tak cynicznego wyzucia się z wszelkich skrupułów najluźniejszej etyki dziennikarskiej.

**Sprawy społeczne.** P. zarządzający ministeryum dóbr państwa w okólniku do organów miejscowych ministeryum, ogłoszonym w *Praw. wiest.*, zwraca uwagę na małą działalność rewizorów-instruktorów leśnych, których obowiązkiem jest udzielać wskazówek technicznych prywatnym właścicielom lasów. Nie zawsze bowiem wiedzą oni, skąd mają otrzymać poradę i wskazówkę w danym wypadku; rewizorowie-instruktorzy mogą na czynności tego rodzaju poświęcać tylko czas wolny od zajęć urzędowych. Wobec tego okólnik zaleca, by zarządy miejscowe dóbr państwa podawały obowiązkowo corocznie do wiadomości publicznej wszelkie objaśnienia, dotyczące rewizorów-instruktorów, dla ułatwienia osobom interesowanym zasięgania u nich porad technicznych.

— *Peterb. wied.* donoszą, iż w d. 27 z. m. rada państwa zatwierdziła projekt, dotyczący unieruchomiania działów włościańskich.

— Wskutek uchylenia w r. 1870 prawnego procentu i kary za pobieranie więcej nad 6% rocznie, lichwa rozwielmożniła się o tyle, iż rząd uznał za konieczną potrzebę przedsięwzięcia najenergiczniejszych środków zaradczych. Jako lichwę postanowiono uważać pożyczanie kapitału na bardzo wielki procent (wyżej 12% rocznie) lub z zastrzeżeniem wysokiej kary w razie niedotrzymania warunków umowy, albo wreszcie na warunkach bardzo uciążliwych dla dłużnika. Doliczanie procentu od kapitału pod formą opłaty za przechowanie itd. zostaje wzbronione. Winni lichwy będą ulegali osadzeniu w więzieniu i grzywnom do rs. 300, a przy powtórzeniu przestępstwa — pozbawieniu praw stanu i zesłaniu na osiedlenie. Umowa, której przedmiotem jest lichwa, unieważnia się. Oprócz tych praw, mających na względzie głównie ludność miejską, wydane będą specyalne rozporządzenia, dotyczące lichwy na wsi, tj. osób, trudniących się skupem zboża lub pożyczaniem go na bardzo ciężkich warunkach dla pożyczającego. (*Warsz. Dniew.*).

— W jesieni r. b. upłynie 35 lat od czasu ostatniego spisu powszechnego w Rosyi. W centralnym komitecie statystycznym prowadzą się roboty przygotowawcze około zorganizowania odkładanego od dawna spisu powszechnego w państwie ruskiem, który ostatecznie odbędzie się w r. 1894. Koszty wyniosą 4 mil. r których wydania odmawiał były minister skarbu z powodu pilniejszych potrzeb bieżących oraz nieurodzaju. Minister Witte wyraził obecnie zupełną gotowość przyjścia z pomocą ministeryum spraw wewnętrznych w tej czynności.

— Ruch emigracyjny, dostrzeżony naprzód w gub. łomżyńskiej, objawia się obecnie w płockiej, gdzie przeważnie z powiatów płońskiego i rypińskiego, wyszło za granicę 88 osób, w tej liczbie około 20 kobiet. Żywioł emigracyjny żeński stanowią wyłącznie młode dziewczęta. Większość wychodźców katolicka i mała tylko ich część należy do wyznania ewangielickiego. Wielu mężczyzn pozostawiło w kraju żony i dzieci. (*Warsz. Dniewn.*).

**Szkoły.** Szkoła sztygarów w Dąbrowie wypuściła w r. b. pierwszy komplet wychowańców (26 osób), którzy ukończyli całkowity kurs teoretyczny. Przechodzą oni obecnie na dwuletnią naukę praktyczną, do czego zobowiązuje ustawa i dopiero po ukończeniu tej praktyki otrzymają patenty.

— Przy nowo zreformowanym instytucie gospodarstwa rolnego i leśnego w Nowej-Aleksandryi, ferma doświadczeń gospodarskich prowadzona będzie w sposób zupełnie odmienny. Dotychczas był to wzorowy folwark dla praktycznych zajęć studentów, obecnie zaś będzie to wyłącznie stacya doświadczalna dla dokonywania wszelkich prób nowych w zakresie gospodarstwa wiejskiego, właściwy zaś folwark o gospodarce wzorowej ustalonego kierunku istnieć będzie przy szkole niższych oficyalistów rolniczych w Końsko-Woli pod Nową-Aleksandryą. Stacya doświadczalna prowadzona będzie na wzór sobieszyńskiej z obszernym działem szkółek zbożowych, pastewnych, owoco-

wych i leśnych i wogóle szeroko r zwiniętą hodowlą nasienną.

**Sprawy kolejowe**. Na miejsce naczelnika wydziału mechanicznego kolei Terespolskiej, inż. Puciaty, przeniesionego do Petersburga, mianowany został inż. Wozniesienskij, który objął już obowiązki służbowe.

— Minister komunikacyi zawiadamia, że dla należytego i wszechstronnego zbadania stanu linii kolejowych pod względem bezpieczeństwa dla podróżnych, pod względem administracyjnym, ekonomicznym, technicznym itd., utworzone będą specyalne komisye, złożone z przedstawicieli ministeryum tudzież innych władz. W r. b. na próbę zrewidowane będą w ten sposób: kolej skarbowa Charkowsko-Mikołajewska i prywatna Moskiewsko-Brzeska.

**Sprostowanie**. W numerze poprzednim str. 283, szp. 1, w. 56 po wyrazach „Medycyna ta w każdym razie“ opuszczono: „różni się tylko stopniem rozwoju od naukowej; ta ostatnia zaś“, nadto zamiast *Pietuchow* czyt. *Wietuchow*.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy dla prenumeratorów *Prawdy* dodatek kwartalny p. t. **Historya filozofii nowożytnej**, ark. 7—12.

## Gazeta Polska

zawiadamia czytającą publiczność, że w lipcu r. b. rozpocznie się na szpaltach tego dziennika druk *nowej dwutomowej powieści* ***Henryka Sienkiewicza*** p. t.

### „Rodzina Połanieckich,“

której wyłączne prawo przedruku „Gazeta polska“ nabyła od „Biblioteki warszawskiej.“

Z wyjątkiem „Biblioteki warszawskiej“ i „Gazety polskiej“ żadne inne pismo w kraju ani za granicą powieści tej przedrukowywać nie będzie.

Oprócz „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza posiada „Gazeta polska“ do druku powieść J. I. Kraszewskiego (na rok przed śmiercią napisaną) p. t. „Nera“ i powieść Mańkowskiego p. t. „W czepku urodzeni.“

„Gazeta polska“ w każdym numerze zawiera trzy, często cztery artykuły, traktujące o sprawach aktualnych z zakresu polityki, literatury, sztuki, nauki.

„Gazeta polska“ oprócz korespondentów krajowych utrzymuje 12-tu stałych korespondentów w głównych ogniskach życia Europy.

„Gazeta polska“ posiada bogaty dział depesz.

„Gazeta polska“ podaje nadto wiadomości sportowe, kursa giełdy, ceny produktów rolnych, meteorologię.

Zwraca się uwagę na użyteczność ogłoszeń drukowanych w „Gazecie polskiej.“

Cena „Gazety polskiej“ w Warszawie kop. 75 miesięcznie, na prowincyi rs. 3 kwartalnie. Adres: Warecka nr. 14.

# OGŁOSZENIA.

## WYDAWNICTWA „PRAWDY.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologi — rs. 3.

*Uwaga*. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskej — rs. 3.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.

— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach, rs. 1. kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

**Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.**

WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA
***L. Krzywickiego***

## LUDY

str. 432. Cena rs. **2** k. **50**, z przesyłką pocztową rs. **2** k. **80**. Nabyć można w Administracyi *Prawdy* oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

## Nauczyciel

potrzebny jest natychmiast lub od 1-go września r. b. do 2-ch chłopców dla przygotowania ich do wyższych klas gimnazyalnych. Gruntowna znajomość polskiego i ruskiego języka wymagana. Oferty wraz z fotografią, świadectwami i dokładnem *curiculum vitae* proszę adresować: Profesorowi W. Lutosławskiemu z Drozdowa gub. m. Łomża.

**WARSZAWSKA**

## Szkoła Dentystyczna

**1893/4 rok szkolny,**

zawiadamia, że przyjmowanie próśb na imię Zarządzającego szkołą zaczyna się dnia 15 (27) czerwca r. b.




Nakładem naszym wyszła

## PSYCHOLOGIA DZIECKA

**Dr. med. L. Wolberga.**

Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20**. Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

## Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

**Brandes Jerzy**. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50

**Chmielowski Piotr dr.** Autorki polskie w. XIX, studyum literacko obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2.

**Gumplowicz L.** System socyologii — rs. 3 kop. 30.

**Heine Henryk**. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

**A. Okolski** Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

**Smoleński Władysław**. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Prewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

**Spencer Herbert**. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

**Prus Bolesław** (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

**Światełko**, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska 95.**

*Do nabycia w Administracyi „Prawdy“:*

## ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

**(ilustrowana).**

*Cena rs. 2 kop. 40. z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.*

## ŚPIEWNIK DLA DZIECI

**z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.**

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Іюня 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.